



MARION LENNOX



*Niewolnica
buszu*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jadąc do Australii, doktor Sophie Lynton bardzo chciała zobaczyć koale. Naprawdę nie miała zamiaru ich rozjeżdżać.

Opony przeraźliwie zapiszczały, spod kół wyleciały fontanny żwiru. Wynajęty samochód wpadł w poślizg i stanął w poprzek drogi, oświetlając silnymi reflektorami krzaki na poboczu.

Potrąciła go czy nie?

A swoją drogą ciekawe, dlaczego to stworzenie siedziało na środku drogi, i to dokładnie na zakręcie?

Sophie zacisnęła mocniej ręce na kierownicy. Oczy miała zamknięte i bała się je otworzyć. Mimo że już dawno zapadł zmrok, wciąż nie mogła znaleźć pensjonatu, w którym zarezerwowała nocleg, a na dodatek gdzieś pod samochodem prawdopodobnie leży koala.

Musi w końcu wysiąść i zobaczyć.

- Boże, żeby tylko żył! - wyszeptała. Powoli otworzyła drzwi i stanęła obok auta.

Kilka stóp przed maską siedziała mała, futrzana kulka. Na Sophie patrzyły okrągłe jak guziki, przepełnione strachem oczy. Poczowała się winna.

- Oj, mój ty biedaku! Przestraszyłeś się mnie bardziej niż ja ciebie.

Koala nie poruszył się.

Zaczęła się zastanawiać, co zrobić ze zwierzęciem, które zagradza jej przejazd. Trzeba je przenieść, ale nie bardzo wiedziała, jak się do tego zabrać. W roztargnieniu poprawiła włosy.

Doświadczenie nabyte w ciągu dwuletniej pracy na oddziale chirurgii urazowej w szpitalu St. Joseph's nie wydawało się w tej sytuacji zbyt przydatne. Ten pacjent był wyjątkowo niskiego wzrostu i pomimo lata nosił szare futro, w którym wyglądał zupełnie jak pluszowa zabawka.

- Posłuchaj, panie Koala - powiedziała miękko. - Nie możesz tu siedzieć i czekać, aż coś cię przejedzie. Przenieś cię na pobocze, dobrze?

Okrążyła niedźwiadka i chwytając pod pachami spróbowała podnieść tak, jak podnosi się małe dziecko.

Szybko zorientowała się, że popełniła błąd. Koala jednym błyskawicznym machnięciem niepozornej łapki rozorał jej rękę od nadgarstka aż do łokcia.

Oszołomiona, bezradnie patrzyła na krew wypływającą z głębokiej rany.

Żaden informator dla turystów o czymś takim nie wspominał. Przecież jest w Australii - krainie słońca i kangurów...

A także potwornych dróg, starych map i głupich, złośliwych koali. O tym jednak nikt jej nie uprzedził.

- Myślę - powiedziała niepewnie - myślę, że chcę jechać do domu.

Dom...

Londyn, Anglia. To trzynaście czy czternaście tysięcy kilometrów stąd?

- Udany miesiąc miodowy - szepnęła, patrząc na swoją rozharataną rękę. Krew ciemnymi kroplami kapiała na ziemię, wsiąkając w żwir pokrywający drogę. - Ślub został przełożony, Kevin jest w Anglii, ja się zgubiłam, a ty, idioto - skierowała swoją przemowę do koali - właśnie paskudnie skaleczyłeś mi rękę! Jeśli się stąd nie ruszysz, będę musiała cię rozjechać!

Pociągnęła nosem i po jej policzku spłynęła błyszcząca, pierwsza od wielu lat łza.

Nienawidziła łez. Jej matka posługiwała się płaczem, kiedy chciała coś osiągnąć i Sophie obiecała sobie nigdy jej nie naśladować.

Ale tutaj...

Tutaj wszystko jest prywatną sprawą pomiędzy nią a koalą, który zresztą wydaje się całkowicie niewrażliwy na takie metody manipulacji.

Poszła do samochodu po ręcznik, aby owinąć krwawiącą rękę. Kiedy otwierała drzwi, usłyszała w oddali odgłosy jakiegoś zbliżającego się wehikułu. To coś jechało dość szybko i, sądząc po natężeniu hałasu, miało spore rozmiary.

Jej samochód stał na samym zakręcie, prawdopodobnie zupełnie niewidoczny. Każdy pojazd jadący tą drogą wpadnie prosto na niego! Zanim Sophie zdążyła uświadomić sobie grożące niebezpieczeństwo, zza krzaków wyłoniła się maska starej ciężarówki.

Drugi raz w ciągu ostatnich kilku minut nocną ciszę przerwał przeraźliwy pisk hamulców. Masywne auto niechętnie zatrzymało się trzy metry przed nią.

Sophie odetchnęła z ulgą. Ból promieniujący z rozciętej ręki powodował, że czuła się bardzo niepewnie, a samotność i spowijające wszystko ciemności zaczynały ją przerażać. Co za pech, żeby utknąć w środku obcego kraju, na drodze, która zdaje się prowadzić donikąd...

Wyobraziła sobie, że z ciężarówki wysiądzie stateczne małżeństwo w średnim wieku - ludzie, którzy z uśmiechem zapewnią ją, że jest bezpieczna, przeniosą koalę i pokażą drogę do pensjonatu.

Zamiast nich zobaczyła mężczyznę.

Wyglądał dość niechlujnie. Miał ponad trzydzieści lat, był szeroki w barkach, a przy tym szczupły. Miał na sobie bawełnianą koszulkę bez rękawów i wytarte dżinsy, na nogach zakurzone, skórzane buty. Wyraźnie zarysowane kości policzkowe przykrywał kilkudniowy zarost, a cień rzucany przez szerokie rondo zniszczonego kapelusza nie pozwalał dojrzeć oczu. Mężczyzna stał przy dziwnym wehikule i badawczo patrzył na nią i koalę.

Sophie instynktownie cofnęła się o krok.

- To nie jest najlepsze miejsce do parkowania, panienko.

Jego głos był głęboki i szorstki. Zdecydowanie nie marnował czasu na prawienie komplementów.

- Na drodze był koala... - odpowiedziała niemal szeptem. Nieznajomy popatrzył na nią z zaciekawieniem, potem zwrócił uwagę na przód jej samochodu.

- Potrafiłaś go?

- Nie... Wydaje mi się, że nie. Dlaczego jej głos brzmi tak dziwnie?

Mężczyzna zdawał się tego nie zauważać. Przykucnął obok koali i uważnie mu się przyjrzał, a potem spojrział ponownie na Sophie.

- Jesteś turystką?

Ton jego głosu wyraźnie dawał do zrozumienia, co myśli o turystach.

- No... tak.

- Chyba rzeczywiście koali nic się nie stało - przeniósł krytyczne spojrzenie na jej samochód i na nią samą - chociaż mogłaś coś mu zrobić. To głupota, żeby po polnych drogach jeździć z taką szybkością.

- Wcale nie jechałam szybko, przecież jest cały! - Z niepokojem poczuła łzy napływające jej do oczu. - Ale teraz nie mogę go przenieść.

- Myślę, że powinnaś wyłączyć reflektory. Nie możesz oczekiwać od przerażonego, dzikiego zwierzęcia, żeby się ruszyło, jeśli nic nie widzi.

Mówił tonem, jakiego używa się wobec mało rozgarniętego dziecka. Szybkim, zdecydowanym ruchem podniósł futrzastego winowajcę, jedną dłonią chwytając go z tyłu za kark, drugą za luźną skórę na plecach. Aby uniknąć ostrych pazurów, trzymał koalę w wyprostowanych rękach, daleko od siebie. Przeniósł go na rosnące w pobliżu drzewo gumowe i posadził na rozwidlonym konarze. Gdy tylko niedźwiadek poczuł się bezpieczniej, dał jasno do zrozumienia, co myśli o tak bezceremonialnym traktowaniu, opróżniając pęcherz moczowy.

- Zgadza się z tobą w zupełności, kolego. To wszystko przez tych turystów. - Po raz pierwszy nieznajomy się uśmiechnął i zwracając do Sophie, dodał: - Droga wolna, możesz już jechać.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję.

Coś nieuchwytnego w jej głosie niespodziewanie go zastanowiło. Podniósł rondo kapelusza, odsłaniając głęboko osadzone oczy.

- Czy wszystko w porządku?

- Tak - Odwróciła się i próbowała wsiąść do swojego samochodu, ale mężczyzna był szybszy. W trzech długich susach znalazł się przy niej i chwycił za ramię - to, które wcześniej tak okrutnie potraktował koala.

Sophie syknęła z bólu.

Puścił ją zaskoczony i cofnął się o krok.

- Co się...? - Patrzył ze zdziwieniem na swoją dużą dłoń, na której czerwieniła się krew. W jego oczach błysnęło zrozumienie. - Chciałaś przenieść koalę?

- Podrapał mnie. - Sophie bez powodzenia próbowała obejść mężczyznę i wsiąść do samochodu, który teraz wydawał się bezpieczną przystanią. - Proszę mnie przepuścić!

- To się nazywa podrapanie?

Nie zważając na protesty, nieznajomy chwycił ją ponownie za ramię i sprawnie rozwiązał zakrywający ranę ręcznik. Na moment zapadła cisza, a potem mężczyzna cicho gwizdnął.

- To trzeba zaszyć.

- Wiem. - Sophie bezskutecznie starała się oswobodzić. - Pójdę do lekarza, kiedy tylko dojadę tam, gdzie zamierzam - dodała drżącym głosem.

- Posłuchaj, panienko, nie chcę cię zgwałcić. - Jego głos znów nabrał szorstkości. - Nieźle cię ten pluszak załatwił. Zawiozę cię do siebie i...

- Nie! - Głos Sophie zawibrował w ciemności, ujawniając ogrom jej strachu.

Mężczyzna westchnął. Zdjął kapelusz i przeczesał ręką swoje ciemne, gęste włosy.

- Jestem lekarzem, panienko. Pięć minut drogi stąd mam gabinet, a w nim wszystko, co jest potrzebne do zszycia tej rany.

- Lekarz? - drwiąco spytała Sophie. - Naprawdę myślisz, że ci uwierzę?

- Przyznaję, że może się to wydawać dziwne. - Ich oczy ponownie się spotkały. - Chciałbym przy okazji cię poinformować, że w obrębie

pięćdziesięciu kilometrów nie ma innego lekarza. Wszystko jedno, czy ci się to podoba czy nie, będziesz musiała mi zaufać. Zaparkuję twój samochód na poboczu i zawiozę cię do gabinetu.

- Nie!

Zapadła cisza, w której słyhać było tylko przyspieszony, nierówny oddech Sophie. Nieznajomy podniósł rękę i lekko dotknął jej ramienia. Mimowolnie się wzdrygnęła.

- Słuchaj, ja naprawdę jestem lekarzem.

Szorстки głos mężczyzny wreszcie złagodniał. Sophie ze zdziwieniem zauważyła, że zaczyna mu wierzyć.

- Ja... - odezwała się nieśmiało. - Proszę mnie puścić. Już w południe powinnam była dojechać do pensjonatu pani Sanderson, która na pewno się niepokoi. Według mojej mapy to jest bardzo blisko, ale tu są zaznaczone jakieś drogi, których nie ma w rzeczywistości...

- Może je przegapiłaś? Pół kilometra stąd jest zjazd, którego widocznie nie zauważyłaś. Pamiętaj, że to jest Australia i nie wszystkie nasze szosy to autostrady.

Dłoń nieznajomego ciągle dotykała ramienia Sophie, co powodowało trudne do określenia uczucie słabości. Cofnęła się zdecydowanie o krok.

- W takim razie, bądź tak uprzejmy i puść mnie. Pani Sanderson na pewno zorganizuje dla mnie jakąś pomoc medyczną.

- Myślisz może o schludnym doktorze i pielęgniarce w czystym, białym fartuchu? Wolałabyś uniknąć rozpadającej się izby przyjęć, którą prowadzi taki dziwak jak ja? - Nieznajomy zaśmiał się ironicznie.

- Posłuchaj, przestań się bawić moim kosztem. - W głosie Sophie pobrzmiwała niemożliwa do ukrycia mieszanka strachu, bólu i złości. - Doceniam twoją pomoc, ale już kilka godzin temu powinnam była dojechać do pani Sanderson.

Mężczyzna zamilkł. W ciszy, która zapadła, słychać było tylko skrobanie pazurów koali, który kontynuował swoją wspinaczkę na drzewo.

Sophie pomyślała, że mężczyzna stoi stanowczo za blisko, w odległości nie większej niż pół metra. Jest od niej o głowę wyższy i na pewno znacznie silniejszy. Gdyby chciał jej coś zrobić...

Ale przecież do tej pory nie wykonał żadnego ruchu, który by świadczył o złych zamiarach. Więc dlaczego tak się go boi?

Pewnie dlatego, że jest tak cholernie męski. Nawet pachnie jak samiec, jak pracujący fizycznie mężczyzna.

Nie jak lekarz.

- Nie możesz prowadzić - odezwał się łagodnym tonem, patrząc jej w oczy.

- Mogę - odparła wojowniczo. - Jeśli mnie nie puścisz, to zobaczysz.

- Co zobaczę?

- Będę...

- Krzyżeć? - Znowu ten okropny ironiczny uśmiezek! - Na pewno uratuje cię twój przyjaciel koala.

- Proszę... - W głosie Sophie zabrzmiało ogromne napięcie. Musiał je usłyszeć, bo odsunął się, przepuszczając ją do samochodu.

- Jeśli zaoferuję ci swoje usługi jako kierowca, to odmówisz?

- Tak.

A czego innego się spodziewał? Że wsiądzie do jego pojazdu, z pewnością pamiętającego epokę dinozaurów, albo że pozwoli mu wsiąść do swojego? Wolne żarty!

Na wydatnych ustach nieznajomego ponownie pojawił się wyraz kpiny. Wziął jej palce w swoją dłoń.

- Czy ręka jest odrętwiała?

- Nie - odpowiedziała szybko. - Sprawdziłam. Nerwy i ścięgna są też w porządku.

- Ho, ho. - Uśmiechnął się szeroko. - Może zostaniesz moją pielęgniarką?

- Nie wygłupiaj się. - Cofnęła się, wyszarpując rękę z jego uścisku. -

Wiem, co mówię. Mogę prowadzić i nie potrzebuję twojej pomocy.

Zdziwiony uniósł brwi.

- Jak sobie życzysz - mruknął i wzruszył ramionami. - Zawróć i skręć w pierwszą drogę w lewo. Pensjonat Moiry Sanderson jest niecały kilometr od zjazdu. Będę jechał za tobą, zresztą i tak mieszkam w pobliżu. Muszę cię pilnować, żebyś po drodze nie zemdliała z upływu krwi. Jeśli poczujesz się gorzej, stań, dobrze?

Sophie odwróciła się, nieco zakłopotana.

- Dziękuję.

- Obawiam się, że cię nie rozumiem, panienko. Najpierw podejrzewasz mnie o to, że chcę cię zgwałcić, a chwilę potem uprzejmie dziękujesz. Nie patrz tak na mnie, tylko wsiadaj! Wydaje mi się, że będę miał dziś w nocy dużo roboty, więc im szybciej dotrzemy na miejsce, tym lepiej.

Wskoczył do ciężarówki, wrzucił bieg i zawrócił, po czym przystanął na poboczu, chcąc przepuścić jej samochód.

Sophie czuła wzbierający niepokój. Nie wiedziała, gdzie jest, więc ten nieznajomy mógł ją skierować wszędzie, Dlaczego twierdzi, że jest lekarzem?

Niepewność zaczęła przeradzać się w panikę.

Stop!

Pewno go nie zrozumiała. Może on po prostu przeszedł kurs pierwszej pomocy?

Poza tym czy ona ma jakiś wybór? W tej okolicy nie roi się chyba od policjantów, a poza tym ona nie wie, jak ich znaleźć.

Nieufnie wsiadła do swojego samochodu, zawróciła i powoli ruszyła przed siebie. We wstecznym lusterku widziała podążającą za nią ciężarówkę nieznajomego.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wszystko wskazywało jednak na to, że mężczyzna ma dobre intencje. Istotnie, niecały kilometr od zjazdu stał znak, którego bezskutecznie szukała od kilku godzin: „Pensjonat Moiry Sanderson”. Wjeżdżając na pokryty żwirem podjazd, Sophie poczuła ogromną ulgę.

Za sobą usłyszała klakson starego wehikułu, który dostojnie klekocząc, pojechał dalej. Widocznie nieznajomy uznał, że spełnił swój obowiązek i że nic już jej nie grozi.

Kiedy światła ciężarówki zniknęły w oddali, poczuła pierwsze oznaki wyrzutów sumienia. Uświadomiła sobie, że zachowywała się okropnie - zupełnie jak mało rozgarnięta turystka. Mężczyzna jej pomógł, a ona zareagowała wrogością. Nieprzekonująco brzmi tłumaczenie, że jest w obcym kraju, gdzie nie powinna nikomu ufać.

Właściwie nic mu przecież nie zawdzięcza. To jakiś oszust i ignorant, próbujący jej wmówić, że jest lekarzem. Na domiar wszystkiego chciał ją zaciągnąć do swojej „przychodni”...

Nie mogła już o tym więcej myśleć. Rozcięta ręka pulsowała ostrym bólem i wciąż krwawiła. Zatrzymała samochód i oparła głowę o kierownicę. Zamknęła na chwilę oczy i, ku swojemu zaskoczeniu, zobaczyła ironiczny uśmiech nieznajomego. On sam odjechał, ale jego obraz pozostał w jej myślach.

Otworzyła oczy i spojrzała w kierunku pensjonatu. Jak na zawołanie zapaliły się światła, a na werandzie pojawiła się starsza kobieta, która, wyraźnie zaniepokojona, podbiegła do niej.

- Doktor Lynton? Czy to ty, skarbie? Miło mi cię poznać. Jestem Moira Sanderson. Martwiłam się o ciebie, miałaś przyjechać wieki temu.

Sophie zmęczonym gestem otworzyła drzwiczki i powoli wysiadła, rozglądając się wokół. To miejsce wyglądało dokładnie tak, jak sobie z

Kevinem wyobrażali - a raczej jak ona sobie wyobrażała, bo Kevin słuchając jej potakiwał, ale myślał o zupełnie innych sprawach.

Dom był nawet ładniejszy niż na zdjęciach w informatorze, który oglądali w Londynie. Został zbudowany z potężnych, malowanych na biało, drewnianych bali ułożonych poziomo jeden na drugim. Otaczały go szerokie werandy, po których pięły się bujne krzaki róż, wypełniające powietrze zapachem tak silnym, że prawie tłumił wszechobecną tu woń eukaliptusa. Na dalekim horyzoncie majaczyły zarysy gór, odcinające się głęboką czernią od gwiazdzistego nieba, z oddali dobiegał cichy szum wodospadu.

- Już chciałam zawiadomić policję - mówiła z przejęciem Moira Sanderson. - Kiedy przedwczoraj zadzwoniłaś i powiedziałaś, że przyjedziesz sama, bez męża, już zaczęłam coś niedobrego podejrzewać, a kiedy się jeszcze tak spóźniałaś...

- Pewno myślałaś, że w nagłym przypiływie rozpaczy rzuciłam się z jakiejś skały. - Sophie uśmiechnęła się słabo, wyjmując walizkę z bagażnika. - Nie jest tak źle. Wkrótce przyjedzie Kevin i, tak jak planowaliśmy, weźmiemy ślub.

- Zawsze niepokoiłi mnie mężczyźni przedkładający sprawy zawodowe nad ślub, kochanie - powiedziała surowo Moira. - Może pomogę ci przenieść walizkę?

- Kiedy doszły do oświetlonej werandy, cicho krzyknęła, mając pierwszą okazję, aby dokładniej przyjrzeć się Sophie.

- Mój Boże! Co się stało, dziecinko?

Sophie wyglądała jakby żywcem przeniesiona z filmu grozy.

Jej dzinsy, biała bluzka, a nawet twarz były poplamione krwią, a sięgające ramion kręcone włosy pokryte kurzem. Nie zdziwiłaby się, gdyby Moira, zobaczywszy ją w takim stanie, wbiegła do środka i zatrzasnęła jej drzwi przed nosem. Zamiast tego wzięła od niej walizkę i objęła ramieniem, próbując uspokoić.

- Oprzyj się o mnie, kochanie. Nie wyglądasz najlepiej - mówiła miękko. -
Co ci się stało?

- Na drodze... był koala.

- Koala. - Moira potrząsnęła ze współczuciem głową, jakby to wszystko wyjaśniało. - Kochanie, musisz uważać, one wyglądają słodko jak pluszowe misie, ale kiedy są przerażone, bronią się jak grizzly. - Spojrzała na przedramię Sophie. - Próbowalaś go podnieść?

- Nie wiedziałam, że ma takie pazury.

- To są dzikie zwierzęta, kochanie. Oj, źle to wygląda - dodała Moira, przyglądając się uważniej ranie. - Oby tylko nie wdała się jakaś infekcja. W każdym folderze dla turystów powinien być taki napis jak na papierosach: „Koale albo zdrowie. Wybór należy do ciebie. Minister Zdrowia i Opieki Społecznej”. Cóż, teraz jest już chyba za późno, żeby cię ostrzegać. Najpierw przygotuję ci kąpiel i coś do jedzenia, a potem zadzwonię po lekarza.

Lekarz...

Widocznie nieznajomy kłamał, mówiąc, że w okolicy nie ma lekarza. Jak dobrze, że Moira Sanderson się nią zaopiekowała.

- Chociaż Inyabarra jest malutkim miasteczkiem, mamy tutaj sklep kolonialny, pub, szkołę i lekarza - obwieściła właścicielka pensjonatu z nieskrywaną dumą w głosie.

Sophie została zaprowadzona do łazienki, gdzie się umyła, a potem gospodyni dała jej swój szlafrok i posadziła przy kuchennym stole nad filiżanką gorącej herbaty.

- Doktor Kenrick pracuje tutaj od pięciu lat - ciągnęła Moira. - Nie wiem, jak sobie wcześniej bez niego radziliśmy. Opiekował się moim mężem podczas jego ostatniej choroby i gdyby nie on, biedny Patrick umarłby w jakimś szpitalu siedemdziesiąt kilometrów od miejsca, które tak kochał. - Pociągnęła smutno nosem. - Dość tego. Nie przyjechałaś tu po to, żeby słuchać moich żalów. Kiedy się kąpałaś, zadzwoniłam po doktora Kenricka. Zaraz tu będzie.

- Może... ja bym do niego pojechała, jeśli jego gabinet nie jest zbyt daleko.

Nie miała ochoty nigdzie jechać. Jej głos zabrzmiał, nawet dla niej samej, nieco słabo. Gdyby była swoją pacjentką, stanowczo odradzałaby jazdę. Poza tym nie miała pewności, czy uda jej się znaleźć drogę do miasta i z powrotem.

- Nie. - Głos Moiry zabrzmiał stanowczo. - Doktor Kenrick powiedział, że za chwilę przyjedzie. Jeśli się nie mylę, to właśnie on.

Sophie też usłyszała silnik nadjeżdżającego pojazdu, chyba ciężarówki.

Ciężarówka?

Znieruchomiała, nasłuchując uważnie. Jej przypuszczenia powoli zmieniały się w pewność; w okolicy nie mogło być dwóch tak starych samochodów.

- Czy doktor Kenrick jeździ ciężarówką? - spytała niepewnie. - Taką starą...

- Tak, kochanie. Zawsze się z nim przekomarzamy, mówiąc, że powinien sprawić sobie mercedesa, ale on utrzymuje, że musi mieć pojazd, który wychował się na tych wybojach.

Gospodyni przeszła przez kuchnię i stanęła w otwartych drzwiach, czekając na gościa. Sophie cicho westchnęła.

- Boże, spraw, żeby to nie był on...

Prysznic, golenie i czyste ubranie sprawiły, że mężczyzna w ostateczności mógł się podawać za lekarza, ale nie ukryły bijącej od niego szorstkości. Ubrany był w czyste spodnie, świeżą koszulę bez kołnierzyka, a stary kapelusz już nie zasłaniał jego twarzy, silnie zarysowanych kości policzkowych i ironicznie patrzących oczu.

- Co my tu mamy? - spytał, stojąc w progu i badawczo patrząc na Sophie. Na jego ustach zaigrał kpiący uśmiezek. - Panienska ma grypę?

Sophie poczuła, że oblewa się rumieńcem.

- Doktorze Kenrick, to jest mój nowy gość, pani Sophie Lynton. - Moira z trudem ukryła zakłopotanie. - Chyba powiedziałam ci, że miała nieprzyjemne spotkanie z koalą.

Sophie milczała, a brwi doktora Kenricka uniosły się w dobrze udawanym zdziwieniu.

- Te pluszaki robią się coraz zuchwalsze! To mit, że jedzą tylko eukaliptusy. Przypomnij mi, Moira, ilu turystów pożarły w zeszłym roku?

- Bardzo śmieszne - szepnęła Sophie, próbując odzyskać utracony spokój.
- Czy naprawdę jesteś lekarzem?

- Oczywiście, że doktor Kenrick jest lekarzem! - Moira była wyraźnie wzburzona.

- Skończyłem medycynę na uniwersytecie w Melbourne - odparł mężczyzna. - Dyplom otrzymałem siedem lat temu, potem odbyłem dwuletnią praktykę i od pięciu lat mam tu gabinet. Gdybyś skorzystała z mojego zaproszenia, mogłabyś go zobaczyć. - Przeszedł przez kuchnię i podniósł jej obolałe ramię. - Wierzysz mi teraz?

- Ale wyglądałaś tak...

- Niechlujnie? - Lekko skrzywił usta w ironicznym uśmiechu. - Nawet lekarz może czasami włożyć stare dzinsy.

- Sophie też jest doktorem - wtrąciła gospodyni, najwyraźniej nie rozumiejąc, o czym jej goście rozmawiają. - Przyjechała do nas aż z Anglii.

Mężczyzna uważnie badał ramię Sophie, pozornie nie zwracając uwagi na słowa Moiry.

- Doktorem czego? - spytał obojętnie. - Może kartografii?

Kartografia, nauka zajmująca się sposobami sporządzania map...

Sophie poczuła się dotknięta do żywego.

- Kto tu kogo obraża? - spytała wzburzona.

Reith Kenrick mruknął coś niezrozumiale, wyraźnie bardziej przejęty ręką niż nią. Nie była dla niego człowiekiem, tylko rozciętym przedramieniem.

- Czy możesz poruszać ręką? - spytał niespodziewanie.

- Już ci mówiłam - wykrztusiła, całkowicie wytrącona z równowagi. -
Ściągną i nerwy nie są uszkodzone.

- Nie będę zszywał rany, kiedy nie jestem wszystkiego pewien. Jeśli tego nie akceptujesz, znajdź innego lekarza. - Spojrzał na nią. - Albo sama sobie zszyj.

To jest prawa ręka. Jak może zszyć sobie prawą rękę?

Spojrzała w ciemne, błyszczące drwiną oczy i poczuła, że ogarnia ją fala bezsilnego gniewu.

Musi się opanować, nie wolno ulegać emocjom. Przecież on jest lekarzem, przyjechał tu, żeby jej pomóc, a ona, niezależnie od swojej woli, pomocy tej potrzebuje. Przywołała na usta słaby uśmiech.

- Masz rację. Przepraszam.

- No, teraz lepiej. - Uniósł jej palce i spytał profesjonalnym tonem: -
Powiedz mi, czy czujesz mój dotyk?

Sprawdził czucie po kolei we wszystkich palcach, w końcu skinął głową z widocznym zadowoleniem.

- Masz szczęście.

- To jest mój dobry dzień - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - I tydzień.

- Doktor Lynton przyjechała tutaj na miesiąc miodowy - pospieszyła z wyjaśnieniem Moira - ale jej oblubieniec musiał zostać w Anglii.

- Widocznie zatrzymało go coś ważnego - zauważył Reith sucho.

Schylił się nad swoją torbę medyczną, napełniając strzykawkę środkiem znieczulającym, i nie widział pełnego nienawiści spojrzenia posłanego mu przez Sophie. Odwrócił się i ponownie poświęcił całą uwagę ranie.

- To będzie bolało. Spróbuj być dzielna.

Zacisnęła zęby. Nie z bólu, ale ze złości.

Gniew złagodził nieprzyjemne doznania kilku następnych chwil. Mimo niechęci do Reitha musiała przyznać, że wykonywał swoją pracę bardzo

sprawnie. Szybko oczyścił ranę, a następnie założył kilka równych szwów. Chociaż wyglądem i zachowaniem nie przypominał jej znajomych z pracy, wyraźnie był dobrym fachowcem.

- Będiesz miała niewielką bliznę - powiedział, kiedy skończył. - Ale tego chyba się nie da uniknąć.

Wiedziała, że powinna mu podziękować. Nie tylko wskazał jej drogę, ale także przyjechał do niej, mimo że zachowała się w stosunku do niego bardzo nieuprzejmie.

- Jestem ci naprawdę bardzo wdzięczna - powiedziała cicho. - Byłeś bardzo cierpliwy...

Założywszy opatrunek, wyprostował się i spojrzał na nią. Opalony i świeżo ogolony, wyglądał bardzo atrakcyjnie. Gdyby nie była szczęśliwie zaręczona z Kevinem...

O czym ona myśli? Skarciła się ostro.

- Moja praca wymaga cierpliwości - odparł sucho. Patrzył na nią tak, jakby czytał w jej myślach. Zaczerniała się. - Jeśli więc nie zajmujesz się kartografią to czym?

- Chociaż nie prowadzę własnej praktyki - z trudem przywołała na twarz uśmiech - jestem lekarzem.

- Internistą? - Zaczął napełniać strzykawkę antybiotykiem.

- Niezupełnie. Odkąd trzy lata temu skończyłam studia, pracuję w szpitalu na oddziale urazowym. A teraz...

- Teraz wychodzisz za mąż - dokończyła Moira. - Jacy ci mężczyźni są niesłowni.

- Kevin nie chciał mnie zawieść. - Sophie potrząsnęła głową. - Wkrótce, chyba w piątek, przyjedzie. W ten sposób... będziemy mieli miesiąc miodowy przed weselem.

- W moich czasach wszystko odbywało się inaczej - surowo zauważyła Moira i spojrzała na Sophie uważniej. - Wyglądasz, kochanie, na wykończoną. Prawda, doktorze?

- A tak, rzeczywiście.

Sophie wstała, ale wyczerpujące wydarzenia ostatniej nocy i upływ krwi spowodowały, że zachwiała się na nogach.

- Zaraz poczuję się lepiej, jeśli tylko dam radę dojść do łóżka.

- Jej sypialnia jest na pierwszym piętrze, zaraz przy schodach, doktorze Kenrick - powiedziała Moira tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Nie!

- Tak.

Głos Reitha był równie zdecydowany. Sprawnie wstrzyknął jej antybiotyk, a potem, zanim zdołała zaprotestować, wziął ją na ręce.

- Proszę mnie zostawić!

- Zostawię cię w twoim łóżku.

Zignorował słabe protesty i poszedł w kierunku schodów. Stapał lekko, jakby nie czuł jej ciężaru.

Sophie nie rozumiała, dlaczego jej serce bije jak oszalałe. Pomyślała, że nie jest przyzwyczajona do tego, by nosili ją mężczyźni, i stąd ta reakcja. Spojrzała w górę i tak, jak się spodziewała, zobaczyła ironiczny uśmiech.

- Wygodnie, pani doktor?

- Nie!

- Cóż... - Otworzył nogą drzwi jej sypialni. - Proszę przekazać biednemu Kevinowi wyrazy współczucia.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby Kevin mnie nosił. Sophie ugryzła się w język. Dlaczego się broni? Nie musi się przecież tłumaczyć przed tym australijskim gburem.

- A, czyli lubisz, gdy Kevin cię dotyka. - Znowu uniósł brwi. - Szczęściarz.

Położył ją na łóżku. Sophie szybko chwyciła kołdrę i zakryła się nią po szyję. W jego spojrzeniu było coś nieuchwytnego, co powodowało, że czuła się naga.

- Dziękuję - powiedziała sztywno. - A teraz... czy mogę zostać sama, bo jestem trochę zmęczona?

Nie ruszył się i stał, wpatrując się w nią. Na jego twarzy widziała współczucie zabarwione zwykłą chyba dla niego kpina.

- Nie jest pani szczęśliwa, pani doktor?

- Ależ skąd! Czuję się wspaniale. Uwielbiam spędzać miodowe miesiące w samotności, lubię gubić się na całe dni na dzikich pustkowiach i walczyć z koalami. A już najlepiej się czuję jako ofiara kpin wiejskich lekarzy, którzy poza wszystkim nie bardzo lubią się myć...

Sophie powoli podnosiła głos, który zamienił się w prawie histeryczny krzyk. Zasłoniła dłonią oczy, lecz cały czas widziała postać Reitha. Długie, szczupłe palce lekko, prawie niewyczuwalnie dotknęły jej twarzy, przynosząc chwilę ukojenia.

- Jesteś wyczerpana - powiedział miękko. - Dam ci jakiś środek nasenny.

- Niczego nie chcę.

- Chcesz. Przecież wiesz, że znieczulenie wkrótce przestanie działać, a nie ma nic gorszego niż bezsenność noc.

Wyszedł cicho, ale po chwili wrócił, trzymając w ręku strzykawkę.

- Petydyna. - wyjaśnił.

- Dobrze - zgodziła się niechętnie, spoglądając na stojącego obok mężczyznę. Jego oczy po raz pierwszy patrzyły na nią ze zrozumieniem.

- Bardzo mądrze - pochwalił ją. - Wpadnę jutro rano sprawdzić, czy wszystko w porządku.

- Poradzę sobie.

- Czuję się odpowiedzialny za swoją pracę.

- A ile bierzesz za wizyty domowe?

Na Boga, po co to powiedziała? Ten mężczyzna wyzwał w niej najgorsze instynkty. Wcześniej, podczas ich spotkania na drodze, myślała, że powoduje ją strach, ale teraz?

To chyba już nie fizyczne niebezpieczeństwo, ale raczej obawa, jak się zachowa jej ciało w kontakcie z tym aroganckim człowiekiem.

Zapadła długa, o wiele za długa cisza. Przez chwilę Sophie myślała, że Reith wyjdzie i po prostu pojedzie do domu.

- Dostaniesz rachunek - odparł wreszcie, patrząc jej w oczy. - Wkrótce dowiesz się, ile mi jesteś winna. Kto wie, czy nie powinnaś się niepokoić...

Mimo wszystko tej nocy spała spokojnie jak dziecko. Poprzednie trzydzieści sześć godzin spędziła w podróży i jej ciało domagało się odpoczynku. Obudziła się, gdy słońce stało już wysoko na niebie.

Zasłony były zaciągnięte, ale dzięki otwartym oknom pokój wypełniał świeży zapach kwiatów. Przez moment Sophie nie wiedziała, gdzie się znajduje, ale szybko przypomniała sobie wydarzenia ostatnich dni.

Wszystko rozpoczęło się od rozmowy telefonicznej z Kevinem, który utknął w Belgii i twierdził, że nie zdąży na ślub.

Pogodziła się z tym. Ostatecznie ślub nie jest jakąś szczególną uroczystością. Musieli tylko zawiadomić kilku przyjaciół i przełożyć termin w urzędzie.

- Jedź sama do Australii - żartował Kevin. - Nie można marnować miesiąca miodowego.

- Będę na ciebie czekać.

- Kochanie, nie wiem, ile to mi zajmie. Może kilka dni, może tydzień. Jeśli wyjedziesz jutro, postaram się w piątek do ciebie dołączyć.

Kiedy kończyli rozmowę, Sophie zdawało się, że słyszy w słuchawce stłumiony, kobiecy śmiech.

Poznała Kevina na uniwersytecie, gdzie razem studiowali. . Poczucie bezpieczeństwa, które jej dawał, wydawało się darem niebios. Sophie

najbardziej na świecie pragnęła założyć rodzinę, której nigdy nie miała. Ojciec dawno się wyprowadził, zaś matka była zimną, interesowną kobietą, szukającą szczęścia w ramionach różnych mężczyzn.

Przez wszystkie minione lata czuła wdzięczność dla Kevina, że pomógł jej przetrwać tamten trudny okres.

Ale zapomnę o tym, jeśli tylko nie przyjedzie w piątek, obiecała sobie, obracając na palcu zaręczynowy pierścionek o wymyślnym kształcie.

- Jak ja mogłam tu sama przyjechać - wymamrotała. - To szaleństwo!

Usłyszała jakaś rozmowę na dole, potem stąpanie po schodach i zdecydowane pukanie do drzwi.

- Tak?

Wiedziała, że to nie Moira. Rozpoznała odgłos kroków, tak charakterystyczny jak silnik zabytkowej ciężarówki.

W drzwiach pojawiła się najpierw głowa, potem cała sylwetka Reitha.

- Więc już się obudziłaś. - Przemierzył kilkoma długimi krokami pokój w kierunku jej łóżka. - Wypałaś się?

- Mówiłam ci, że nie musisz przychodzić - powiedziała, siadając i poprawiając poduszki. Podciągnęła kolana pod brodę w obronnym geście, tak że spod pościeli wystawała tylko jej głowa.

- A czy ciebie ludzie zawsze słuchają? - spytał uprzejmie Reith. Podeszedł do okna i rozsunął zasłony, wpuszczając do środka promienie słońca. - A Kevin?

- Nie twoja sprawa.

- Racja - zgodził się, siadając na krawędzi łóżka. - Pokaż mi rękę.

Spojrzała na niego podejrzliwie i bez słowa wyciągnęła ramię. Roześmiał się.

- Czy mam tę rękę odkręcić i zbadać w jakimś innym pomieszczeniu? - Podniósł brwi, patrząc na nią pytająco.

Sophie wbrew woli się uśmiechnęła. Trudno jej było oprzeć się tym oczom, zwłaszcza kiedy znikwała z nich kpina.

- Przepraszam - powiedziała. - Wczoraj zachowałam się jak...

- Jak rozpuszczony dzieciak? - Uśmiechnął się ponownie, patrząc na nią ciepło. - Wiem, chyba wszystko wymknęło ci się spod kontroli. Kiedy przyleciałaś do Australii?

- Wczoraj rano.

- Czyli prosto z lotniska przyjechałaś tutaj? Gdybyś знаła drogę, dojechałabyś z Tullamarine w sześć godzin.

- Chciałam skorzystać z wakacji i obejrzałam po drodze kilka rzeczy.

- Hm... - Skończył zdejmować opatrunek i widok rany wyraźnie go uspokoił. - Wspaniale, żadnych śladów infekcji. Masz szczęście.

- Ja? Może i tak... Byłeś dla mnie naprawdę miły, chociaż na to nie zasługiwałam. Na twoim miejscu zostawiłabym kogoś takiego na drodze razem z tym koalą.

Wydawał się zaskoczony jej słowami.

- Nigdy bym tego nie zrobił.

- Wiem. Dziękuję.

Po raz pierwszy poczuli, jak przepływa pomiędzy nimi iskra zrozumienia. Ciszę, która zapadła, przerywał jedynie świergot ptaków za oknem.

Reith zabandażował jej ramię i wstał.

- Mam dla ciebie pewną propozycję - powiedział w końcu z wyraźnym wahaniem.

- Propozycję?

- Chodzi o twój dług.

Sophie poczuła suchość w ustach. Spojrzała na swoje zabandażowane ramię.

- Słucham...

- Dzień pracy.

- Dzień pracy? - Potrząsnęła głową. - Nie rozumiem. Wzruszył ramionami.

- To proste. Potrzebuję na jeden dzień lekarza. Słyszałaś może o chlamydiach, Sophie?

Poczuła się niezręcznie, słysząc, jak wymawia jej imię. Skoncentrowała się na pytaniu.

- Chlamydie? - Zmarszczyła w zamyśleniu brwi. - Tak, to bakterie atakujące oczy. Zdaje mi się, że mają także jakiś związek z chorobami wenerycznymi.

- Bardzo dobrze. Problem w tym, że koale są na nie mało odporne.

- Mówisz o koalach, które tu żyją?

- Tak. - Przeczesał włosy gestem, który stawał się dla niej znajomy. - Koale są nosicielami chlamydii, ale zagrożenie pojawia się dopiero wtedy, gdy ich populacja znacząco się zwiększa. Odkąd ten rejon został uznany za park narodowy, misie zaczęły się szybko rozmnażać.

- A jakie objawy wywołują u nich chlamydie? - Pomimo dość specyficznej sytuacji, Sophie zainteresowała się problemem. Może dlatego, że zmienił się ton głosu Reitha, a jego oczy obserwowały ją bez zwykłego wyrazu kpiny.

- Takie same jak u ludzi. Bakterie atakują oczy, a w ekstremalnych przypadkach powodują ślepotę. Zwierzęta stają się apatyczne, ich sierść matowieje, tracą odporność, a co najgorsze, stają się bezpłodne.

- Czy to można leczyć?

- Tak, trzeba zmniejszyć populację i poddać zwierzęta odpowiedniej diecie. Ale bezpłodność jest trwała.

- Rozumiem. - Sophie nadal trzymała kolana pod brodą, ale zaabsorbowana słowami Reitha nie zauważyła, że kołdra się zsunęła i jej jedynym przykryciem jest cienka koszula nocna. - A ja w jaki sposób mogę ci pomóc?

- Najpierw wypocznij. - Uśmiechnął się. - Dzisiaj jest poniedziałek, a twoja mniej ważna połowa ma przyjechać w piątek.

Mniej ważna połowa...

Sophie pomyślała, że Kevin nie byłby zachwycony takim określeniem jego osoby. Zdała sobie sprawę, że to ją Kevin traktuje jak mniej ważną połowę, którą w każdej chwili można...

- Na początku przyszłego miesiąca drzewa gumowe powinny zacząć kwitnąć i wydzielać toksyny, za którymi koale nie przepadają - kontynuował Reith. - Wtedy wszystkie przejdą na eukaliptusy i możesz sobie wyobrazić, jaki ścisk to spowoduje. To z kolei znacznie zwiększy ich podatność na zarażenie. Dlatego wkrótce przyjadą ludzie ze służby ochrony przyrody, żeby przetransportować część populacji na północ, gdzie kilka lat temu koale zostały zdziesiątkowane przez pożar buszu.

- Więc?

- Dziś i jutro jest za gorąco, ale w środę ma być chłodniej i wtedy planujemy wielką akcję przesiedleńczą.

- Jeśli do tej pory nie zauważyłeś - rzekła niepewnie - nie jestem najlepszą specjalistką od przenoszenia koali.

- Fakt. - Reith uśmiechnął się, a ona odpowiedziała mu tym samym. - Ale ja tak. Wczoraj spędziłem cały dzień w buszu i środa najprawdopodobniej będzie wyglądać podobnie.

- I?

- Zastanawiam się... - Wzruszył ramionami. - Wychowałem się tutaj i naprawdę znam się na koalach, znacznie lepiej niż większość tych facetów ze służby leśnej. Ale jak tylko wejdem na drzewo po jakiegoś misia, ściągają mnie na ziemię, żebym opatrzył któregoś z ratowników, bo właśnie zleciał z eukaliptusa. Więc...

- Chciałbyś, żebym ci pomogła?

- Po prostu większość czasu zajmuje mi opatrywanie ich siniaków i nie mogę zajmować się koalami. Jeśli się zgodzisz, zobaczysz naraz tyle misiów, ile nie widziałś przez całe życie.

Sophie uśmiechnęła się z dystansem.

- Widziałam już jednego i myślę, że mi to wystarczy na długo.

- Czyli odmawiasz?

Spojrzała mu w oczy, oczekujące w napięciu na jej decyzję.

Na moment zapadła cisza.

Ten człowiek nie wyglądał na kogoś, kto często korzysta z uprzejmości innych.

Pomyślała, że ktoś musiał go kiedyś zranić, mocno zranić. Pewno jest bardzo samotny...

Poczuła nagle ochotę, aby go dotknąć.

- Oczywiście, że ci pomogę - powiedziała cicho i obserwowała zaskoczenie, które pojawiło się na jego twarzy.

Otrząsnął się bardzo szybko.

- Świetnie. Wpadnę po ciebie o szóstej.

- Szóstej? - jęknęła. - O szóstej rano?

- Tak. - Uśmiechnął się szeroko. - Pracujemy do dziesiątej, a potem śpimy w cieniu. - Dotknął lekko jej twarzy. - Więc do zobaczenia w środę, pani doktor?

- Ja...

- Wspaniale. Do widzenia, Sophie, uważaj na siebie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kolejne dwa dni Sophie odpoczywała. Późno wstawała, chodziła na spacerki nad szemrzący za domem strumień i pływała w pobliskim stawie.

Odpoczywała? Kogo chciała oszukać? Jej wszystkie myśli krążyły wokół Reitha Kenricka.

O wiele łatwiej było wyrzucić z pamięci Kevina i jego chichoczącą przyjaciółkę. Nawet kiedy leżała na trawie w cieniu eukaliptusa i czytała książkę, na zadrukowanych stronicach widziała twarz Reitha. Cały czas...

We wtorek wieczorem wyszła na werandę, gdzie Moira zajęta była łuskaniem grochu. Nie mogła się już powstrzymać od zadania nurtującego ją pytania:

- Moira, możesz mi coś powiedzieć o doktorze Kenricku? Moira uśmiechnęła się.

- Ciekawa byłam, ile jeszcze wytrzymasz, zanim wreszcie o to spytasz.

- To tylko... Wiesz, mam mu pomagać.

- Oczywiście, to tylko ciekawość - przytaknęła Moira. - Może przestaniesz myśleć o tym niesłownym Kevinie...

- Kevin nic nie mógł na to poradzić. - Sophie zdecydowanie stanęła w obronie narzeczonego.

Moira tylko potrząsnęła głową.

- Reith jest samotnikiem... - zaczęła po chwili, nie przerywając łuskania.

- To widać.

- Tak, nie miał najłatwiejszego życia.

Cisza. Sophie nie mogła zadać następnego pytania. Przecież nie wypada okazywać tak dużego zainteresowania czyimś życiem.

- Znam go od małego - podjęła Moira po chwili. Mówiła powoli, widocznie jej myśli powędrowały od groszku i Sophie do obrazu małego Reitha w krótkich spodenkach. - Jego matka i ja byliśmy w tym samym wieku i tego

samego roku wyszłyśmy za mąż, ale poza tym nie miałyśmy z sobą wiele wspólnego. Pewnie dlatego, że jej zdaniem Inyabarra nie była miejscem dla niej.

- Więc po co tu przyjechała? Moira wzruszyła ramionami.

- Ojciec Reitha był artystą. Uważano go za bardzo zdolnego, chociaż dla mnie to, co on malował, było przerażające. Szkielety, potwory i wszystkie te okropieństwa, które widzi się w najgorszych snach. Żył w buszu, niedaleko stad, a Heidi, matka Reitha, była jego modelką. Jestem niemal pewna, że to nie było jej prawdziwe imię, ale nigdy nie pozwalała się do siebie inaczej zwracać. Podobno wyszła za ojca Reitha dla pieniędzy i sławy, a wkrótce potem okazało się, że jest w ciąży. Wydaje mi się, że żadne z nich nie było z tego powodu specjalnie zadowolone.

- Ale się nie rozwiedli?

Moira ponownie wzruszyła ramionami.

- Nie jestem pewna, czy w tamtych czasach pozowanie było lukratywnym zajęciem, ale wiem, że ojciec Reitha miał znaczną fortunę. To małżeństwo było dziwne. Heidi robiła, co chciała, a do domu wracała wtedy, gdy kończyły się jej pieniądze. Reith wychowywał się z ojcem, który już wtedy był bardzo stary. Miał prawie siedemdziesiąt lat.

- Opiekował się Reithem? Moira prychnęła lekceważąco.

- Jeśli można to tak nazwać. Zapewniał mu dach nad głową i dawał pieniądze na jedzenie, a kiedy Reith mu przeszkadzał, po prostu go bił. Wiem, że co jakiś czas, po poważniejszych awanturach, chłopaka zabierała opieka społeczna, ale stary Kenrick miał swoje kontakty i zawsze udawało mu się sprowadzić go z powrotem. Reith spędził połowę dzieciństwa w buszu, a kiedy miał piętnaście lat, wymyślił sobie, że zostanie lekarzem. Zaczął, co mu się wcześniej nie zdarzało, regularnie chodzić do szkoły i porządnie się uczyć. Wkrótce ojciec zmarł, a matka zniknęła na dobre; podobno poślubiła jakiegoś aktora. Reith zdał na medycynę, wyjechał do Melbourne i wszyscy myśleliśmy, że już go tu więcej nie zobaczymy.

- Ale wrócił?

- Jak chłopak przyzwyczajony do życia na wolnej przestrzeni wytrzymałby w mieście? Twierdził, że ten ruch, zgiełk i tłumy ludzi doprowadzały go do szaleństwa, a on zawsze wolał samotność i niezależność. Znam go i wiem, że trzyma wszystkich na dystans i wydaje mi się, że taka sytuacja mu odpowiada. Odkąd tu jest, gruntownie zmodernizował farmę ojca, przerobił część domu na gabinet i zarabia tyle, że starcza mu na utrzymanie. Nie wiemy, dlaczego pracuje, przecież odziedziczył po ojcu ogromną fortunę, ale jest dla nas błogosławieństwem. Modlimy się, żeby stąd nie wyjeżdżał.

Sophie stanął przed oczami obraz jego zagniewanej twarzy. Niechciane dziecko... Mężczyzna, który chowa się za maską cynika.

Wróciła myślami do swego dzieciństwa i nagle poczuła, że łączy ją z Reithem wiele wspólnego. Pamiętała jeszcze z dzieciństwa ten ból: matka także jej nie zauważała. Wiedziała, jak niszczące może być uczucie gorzkiej samotności.

Reith przyjechał po nią następnego ranka punktualnie o szóstej. Pomimo protestów Sophie, Moira wstała i przygotowała jej obfite śniadanie na drogę.

- Nigdy nie dam rady tego wszystkiego zjeść - broniła się, ale Moira była nieugięta.

- To nie tylko dla ciebie, kochanie. Zobaczysz, że Reith nic nie weźmie. Żebyś tylko wiedziała, jak się staram, żeby go od czasu do czasu porządnie nakarmić. Powiedz mu, że za dużo ci przygotowałam i zaproponuj, żeby ci pomógł...

Twarz Sophie rozświetlił uśmiech.

- Myślę, że łatwo domyśli się prawdy. Chyba mi nie uwierzy, że na lunch zjadam cztery ogromne kanapki, a na deser całe ciasto czekoladowe.

Wzięła koszyk z jedzeniem i poszła do ciężarówki Reitha. Zaczęła czuć się nie w porządku w stosunku do Kevina.

Chociaż z drugiej strony on był w Belgii w towarzystwie kobiety, której nie znała i nie miała ochoty poznać. Zresztą, co jest złego w tym, że stara się pomóc znajomemu?

- Chcesz stać tu przez następny tydzień?

Reith wyskoczył z ciężarówki i wziął od Sophie koszyk. Miał na sobie ten sam strój, co podczas ich pierwszego spotkania; jedyną różnicą był brak zarostu. Poczula, że znowu przeskakuje między nimi iskra zrozumienia.

- Myślałaś o czymś poważnym, prawda?

- Słucham?

- Zaopatrzenie jak dla wojska.

- To zasługa Moiry. - Uśmiechnęła się. Jej serce było zupełnie nieprzytomnie. - Ona uważa, że głodujesz i zwęszyła wspaniałą okazję, żeby cię dokarmić.

Odwzajemnił uśmiech. Włożył kosz do ciężarówki i przytrzymał otwarte drzwi, pomagając Sophie wsiąść.

- Postaram się spełnić pokładane we mnie nadzieje. Pani doktor jest gotowa do pracy?

- Tak - odparła wsiadając, ale nie była o tym przekonana.

Podróż nie trwała długo. Przejechali zaledwie trzy kilometry, gdy Reith zjechał z głównej drogi i zaparkował nad strumieniem, tym samym, który przepływał w okolicy pensjonatu Moiry.

Kręcili się już tam ludzie, w większości w mundurach koloru khaki noszonych zwykle przez służby leśne, oraz kilka osób w cywilnych strojach.

- Ci ludzie umieją wchodzić na drzewa - zaśmiał się cicho Reith - a poza tym są w stanie odróżnić zdrowego koalę od chorego.

Krótko przedstawił wszystkim Sophie.

- Jeszcze jeden doktor? Jak ci się to udało, Reith? Porwałeś ją? Możemy ją zatrzymać? - spytał jeden z nich, a pozostali wybuchnęli śmiechem. Szczupła figura Sophie wzbudziła wyraźny entuzjizm.

- Trzymajcie się od niej z daleka, chłopcy - warknął Reith. - W piątek przyjeżdża jej narzeczony.

- Dlaczego puścił cię samą tak daleko? To ci dopiero frajer. Odeszli, ciągle się śmiejąc.

Sophie zaczęła się zastanawiać, czy oni przypadkiem nie mają racji. Dlaczego nie ma z nią Kevina?

Mężczyźni zaczęli sprawnie przygotowywać klatki do transportu koali.

- Jeżeli przeniesiemy ich tyle, ile zaplanowaliśmy, to nie będziemy musieli tu wracać wieczorem - wyjaśnił Sophie kierownik, po czym spojrzał pytająco na Reitha. - Czy możemy prosić doktor Lynton o pomoc, kiedy coś się stanie? - W jego głosie zabrzmiała wyraźna nuta wątpliwości; widocznie ubiór Sophie nie kojarzył mu się ze zwykłym strojem lekarza.

- Wiem, że wolelibyście kogoś w białym fartuchu - wykrztusiła oburzona - ale mój strój dostosowany jest do lokalnych obyczajów. - Rzuciła wymowne spojrzenie w stronę Reitha. - Ja przynajmniej nie muszę się golić.

Na początku nie miała zbyt dużo pracy, usiadła więc na przewróconym pniu drzewa gumowego i przypatrywała się pracy mężczyzn. Trzymali w rękach bardzo długie, giętkie tyczki, z przymocowanymi do końców czerwonymi, łopoczącymi na wietrze płachtami materiału. Podnosili je tak, aby flaga powiewała nad upatrzonym koalą. Przestraszony miś zsuwał się wtedy po pniu, a oni nieco opuszczali płachtę. Powtarzali ten zabieg tak długo, aż ludzie stojący na ziemi zaczęli wydawać się koali groźniejsi od kawałka czerwonego materiału i miś nieruchomiał. Zwykle działo się to na wysokości trzech, czterech metrów nad ziemią. Wtedy następowała trudniejsza część zadania. Na drzewo wchodził człowiek z krótszą tyczką zaopatrzoną w pętlę. Wystarczyło przełożyć ją przez głowę koali i szarpnąć, aby zwierzę rozluźniło chwyt na gałęzi. Potem należało szybko opuścić więźnia na ziemię, gdzie czekał następny oprawca z gotową klatką.

Cała operacja wydawała się prosta, ale Sophie za nic nie chciałyby brać w niej udziału. W pamięci wciąż miała obraz ostrych pazurów, błyskawicznie rozcinających jej skórę.

Pierwszy pacjent pojawił się po upływie mniej więcej pół godziny. Pechowiec o ułamek sekundy za wcześnie puścił niedźwiadka, którego zamierzał wepchnąć do klatki, i został surowo ukarany za nieuwagę. Na szczęście torba lekarska Reitha była dobrze wyposażona, dzięki czemu już po kilku minutach rana została opatrzona i mężczyzna mógł wrócić do pracy.

- Większość tych ran nie wymaga szycia. Oni dobrze wiedzą, kiedy koala może ich podrapać i zwykle zdążą się cofnąć - przypomniała sobie słowa Reitha, wypowiedziane jeszcze w samochodzie.

- Powinniśmy mieć tu weterynarza - stwierdził któryś z opatrywanych mężczyzn - ale kilkanaście kilometrów stąd jest druga ekipa i weterynarz tam pojechał. Na szczęście Kenrick jest w stanie go zastąpić; sama natura obdarzyła go jakimś szóstym zmysłem.

Szósty zmysł? Patrząc na jego poczynania, Sophie skłonna była w to uwierzyć. Wyglądał trochę jak szaman...

Pracował dwa razy szybciej od swoich towarzyszy, strącając koale z łatwością, której strażnicy mogli mu tylko pozazdrościć. Musiał cieszyć się autorytetem, bo często w razie wątpliwości pytano go, czy przenoszone misie są zdrowe.

Od strony drogi rozległ się przeraźliwy dźwięk klaksonu, raptownie przerywając tok jej myśli. Jakiś samochód zbliżał się szybko, rozgłośnie trąbiąc. Instynkt nakazał Sophie pobiec w jego kierunku; wyczuła ten rodzaj pośpiechu, który tak często widziała u siebie na oddziale.

- Doktorze Kenrick! Potrzebuję doktora Kenricka!

Z samochodu wyskoczyła młoda kobieta, prawie dziewczyna, i gorączkowo rozglądała się wokół. Twarz miała pokrytą kurzem, oczy rozszerzone strachem. Gdy zauważyła Sophie, spytała:

- Gdzie on jest? Na Boga, gdzie on jest?!

Chciała przebiec koło Sophie, ale ta chwyciła ją w ramiona.

- Doktor Kenrick jest w buszu. Ja też jestem lekarzem, mogę pani pomóc.

- Lekarzem? - Dziewczyna obrzuciła ją podejrzliwym spojrzeniem.

- Co się stało? - spytała Sophie. Przybrała profesjonalny toń, który, jak wiedziała z doświadczenia, zawsze wpływał kojąco na rodziny pacjentów.

Dziewczyna odgarnęła z twarzy długie, jasne włosy. Sophie zobaczyła wyraźne ślady łez.

- Moje dziecko...

- Czy jest w samochodzie?

- Boże, nie wiem, co mam robić.

Sophie puściła ją i podbiegła do auta. Otworzyła drzwi i szybko sięgnęła po dziecko.

Dziewczynka miała najwyżej pięć miesięcy. Nie reagowała na dotyk, jej główka zwisała bezwładnie, a małym ciałkiem co chwilę wstrząsały konwulsje. Sophie przyłożyła rękę do rozpalonej twarzy dziecka i z przerażeniem stwierdziła, że ma co najmniej czterdzieści stopni gorączki. Kilкома sprawnymi ruchami zrzuciła koce, którymi było owinięte.

- Co robisz? Naprawdę jesteś lekarzem? Dlaczego nie przyjdzie doktor Kenrick? - Matka patrzyła z lękiem na poczynania Sophie.

- Tak, jestem lekarzem. Powiedz mi, kiedy to się zaczęło.

- Piętnaście, może dwadzieścia minut temu. Jest przeziębiona od kilku dni, ale doktor Kenrick powiedział, że antybiotyk nie jest potrzebny. Dziś rano czuła się lepiej, ale potem, kiedy ją karmiłam, chyba straciła przytomność, bo zeszywniała. Bardzo się przestraszyłam, myślałam, że umiera i kilka razy nią potrząsnęłam. I wtedy zaczęła mi lecieć przez rękę.

- Jak mocno nią potrząsałaś? - spytała Sophie, czując wzbierający strach. Zdała sobie sprawę, że dziewczynka mogła mieć wstrząs mózgu.

- Nie za mocno, tylko trochę. Zawinęłam ją potem w koce i od razu tutaj przyjechałam, bo wiedziałam, że doktor Kenrick tu będzie. Czy ona może umrzeć?

Sophie nie odpowiedziała, gorączkowo rozmyślając nad tym, jak uratować dziecko. Trzeba obniżyć temperaturę ciała, i to możliwie szybko, aby uniknąć uszkodzenia mózgu. Jak tego dokonać?

- Chodź ze mną - poleciła matce i pobiegła najszybciej jak mogła w kierunku strumienia.

W tym miejscu strumyk płynął wartko, tworząc malutki wodospad, u stóp którego powstało niewielkie jeziorko o piaszczystych brzegach. Stojąc na brzegu trudno było ocenić jego głębokość, więc Sophie wręczyła dziecko matce, a sama weszła do zimnej, spływającej z pobliskich gór wody; w najgłębszym miejscu sięgała jej do pasa. Postąpiła kilka kroków w kierunku matki i wyciągnęła ręce po dziewczynkę.

- Daj mi ją - powiedziała. - Szybko.

- Co chcesz zrobić? - Głos matki był pełen lęku.

- To jedyny sposób, żeby szybko zmniejszyć temperaturę. - Usiłowała mówić opanowanym, profesjonalnym tonem.

- Ale...

- Podaj mi małą - zażądała ostrzej. - Wiem, co robię, musisz mi uwierzyć.

Dziewczyna nieprzytomnie rozejrzała się wokół, szukając wybawienia jakim mogło być pojawienie się doktora Kenricka. Ale nic z tego - była tu tylko ta szalona Angielka. Z obawą spojrzała na stężałą twarzyczkę swojego dziecka i z wyraźną niechęcią podała je Sophie, która powoli weszła z powrotem do wody.

To na pewno nie było idealne rozwiązanie. W szpitalu prawdopodobnie rozebrałaby dziecko i powoli zanurzała w wodzie niewiele chłodniejszej niż temperatura ciała lub okładała wilgotnymi ręcznikami. Ale teraz nie było czasu do stracenia - każda chwila zwłoki mogła spowodować trwałe zmiany w mózgu.

Sophie ciężko westchnęła i powoli zaczęła zanurzać dziewczynkę w zimnej wodzie. Poczula, jak małe ciało napięło się, kiedy zimna woda przeniknęła przez lekki, wełniany kaftanik do skóry. Sophie przyjrzała się bliżej strojowi dziecka. Wełniany czepek ze wstążeczkami, malutkie, ręcznie dziergane buciki i kaftanik zapinany na dziesiątki małych guziczków i wstążeczek. Bardzo ładne ubranko, ale zupełnie nie dostosowane do upału. W taki dzień dziecku wystarczyłaby sama pieluszka. Sophie delikatnie rozwiązała tasiemkę przytrzymującą czepek i Zdjąwszy go, położyła dziewczynkę na plecach tak, aby tył jej głowy także zanurzył się w wodzie.

- Już dobrze, malutka, już wszystko dobrze - szeptała, uważnie obserwując, czy widać poprawę. - Wróć do nas.

Na brzegu młoda matka złożyła ręce, patrząc z mieszaniną nadziei i strachu na poczynania Sophie.

- I co?

- Potrzebuje trochę czasu - odparła Sophie, delikatnie pryskając wodą na małą twarzyczkę. - Musimy poczekać, aż spadnie temperatura.

- Chcę doktora Kenricka! - krzyknęła rozpaczliwie dziewczyna. Koło niej jak spod ziemi wyrósł Reith. - Doktorze Kenrick! - Matka uczepiła się jego ramienia jak ostatniej deski ratunku. - Ta kobieta mówi, że jest lekarzem! Ona chce utopić moją Stephanie.

Reith delikatnie ją odsunął. Wszedł do wody i za chwilę znalazł się obok Sophie.

- Co się stało?

Sophie zignorowała pytanie, całą uwagę poświęcając dziecku. Zaraz, czyżby jej się tylko wydawało?

Mętne do tej pory oczy dziewczynki zaczęły nabierać wyrazu. Patrzyły teraz na nią z wyraźną pretensją. Sophie poczuła, że małe ciało się pręży i próbuje uwolnić. Jeszcze chwila i, skrzywione usteczka otworzyły się, wydając przeraźliwy krzyk.

To był jeden z najcudowniejszych dźwięków, jakie Sophie zdarzyło się kiedykolwiek słyszeć. Spojrzała na Reitha i oboje uśmiechnęli się, szczęśliwi.

- Udało się.

- Zauważyłem. Swoją drogą, dość drastyczna kuracja.

Sophie poczuła, że czerwienieją jej policzki. Cała radość z uratowania dziecka zniknęła w mgnieniu oka.

- Proszę mi przynieść zastrzyk diazepamu i jakąś miskę, żebym mogła ją umyć - powiedziała spokojnie, rozpinając kaftanik małej. Reith pospieszył jej z pomocą. Trzymanie wijącego się dziecka i jednocześnie rozpinanie kilkudziesięciu małych guziczków nie było najłatwiejsze. - A co ty byś zrobił w takiej sytuacji? - spytała.

- Dokładnie to samo - przyznał po chwili milczenia.

Chociaż rumieniec nie zniknął z jej twarzy, Sophie poczuła, że niespodziewane słowa Reitha sprawiły jej dużo przyjemności. Wkrótce Stephanie była ubrana jedynie w ociekającą wodą pieluszkę. Jej płacz stał się głośniejszy, małe piąstki bezradnie biły powietrze.

- Wydaje mi się, że nic jej nie jest. - Reith uśmiechnął się, wziął Stephanie i wyszedł na brzeg, podając Sophie rękę. Ten niewinny dotyk sprawił, że zdała sobie nagle sprawę z intymności, jaką stworzyło wspólne zajmowanie się małym dzieckiem, na dodatek po pas w zimnej wodzie...

Na brzegu pojawili się pozostali mężczyźni, zwabieni niespotykanym tutaj dźwiękiem, jakim był dziecięcy płacz.

- Jenny, usiądź w cieniu pod drzewem i nakarm małą. Nie uspokoi się, dopóki jej nie przytulisz - powiedział Reith, przekazując Stephanie niecierpliwie czekającej matce.

- Najpierw ją ubiorę - odrzekła Jenny.

- Nie! - zaprotestowali jednym głosem Sophie i Reith.

- Chyba się zgadzamy - zauważył Reith z uśmiechem.

Spojrzał z troską na ramię Sophie. Na mokrym bandażu pojawiły się ślady krwi. Dotknął lekko zranionego miejsca, spoglądając na nią pytająco. Sophie uśmiechnęła się i potrząsnęła przecząco głową. Czowała, że jej ramię było w porządku. Reith skinął uspokojony głową i podszedł do Jenny. Młoda matka była bardzo blada, jej ręce obejmujące Stephanie drżały.

- Jenny, wszystkie te kłopoty spowodował upał - tłumaczył Reith. - Wiem, że jesteś dumna z pięknych ubranek Stephanie, ale jeśli jest tak ciepło, po prostu nie możesz ich używać. Teraz nie zdejmuj jeszcze tej wilgotnej pieluszki. Zrób to dopiero wtedy, gdy się uspokoi. Pamiętaj, że ma mieć na sobie tylko pieluszkę i lekki kaftanik, chyba że temperatura spadnie poniżej dwudziestu stopni. To jest polecenie lekarza, Jenny. Jenny spojrzała na niego niepewnie.

- Już wczoraj mi to mówiłeś, ale moja teściowa upiera się, że nie masz racji. Ona uważa, że Stephanie powinna dostać antybiotyki i że powinnam ją ciepło ubierać, kiedy jest przeziębiona.

Zapadła cisza. Reithowi zostało rzucone wyzwanie. Sophie milczała, ale zrobiło jej się żal młodej, mało jeszcze doświadczonej matki, która nie bardzo wiedziała, kogo ma słuchać: lekarza czy może teściowej, która uważa, że wszystko wie najlepiej.

- Myślisz, Jenny, że się mylę?

Reith patrzył poważnie na przestraszoną dziewczynę. Starał się mówić spokojnie, jak gdyby rozumiał jej obawy.

- Nie, teraz już nie.

- Może chcesz, żebym porozmawiał z twoją teściową? - spytał, a twarz Jenny rozjaśniła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- A mógłbyś? Gdyby ci to nie sprawiło kłopotu... Wiem, że jesteś zajęty, ale znasz moją sytuację. Babcia Lee sama zrobiła te ubranka i byłoby jej przykro, gdybym ich nie używała, a dzisiaj ma przyjść na lunch, więc musiałam małą w nie ubrać. Mam jeszcze sześć takich kaftaników...

- Już dobrze, Jenny, uspokój się. Porozmawiam z twoją teściową. Musimy ją zrozumieć, Stephanie w końcu jest jej pierwszą wnuczką. - Odwrócił się w stronę obserwujących całą scenę mężczyzn. - No, panowie, przedstawienie skończone. Zostało wam jeszcze pięćdziesiąt koali. Dacie radę?

Mężczyźni niechętnie rozeszli się do pracy. Reith skierował się w stronę Sophie.

- Pokaż mi, proszę, swoją rękę. Boję się, czy szwy nie puściły.

- Mogę je sama obejrzeć. A ty wracaj do koali, na pewno za tobą tęsknią.

- Potrzebujesz mnie teraz bardziej od nich - odparł półgłosem. - Nie chcę, żeby coś się stało z twoją ręką. Możesz być mi jeszcze bardzo potrzebna, pani doktor.

Sophie spojrzała na niego zaskoczona. Trudno jej było wytłumaczyć, dlaczego poczuła nagle zadowolenie i wewnętrzne ciepło.

Reith opatrzył jej ranę i widząc zmęczenie, dał wolne do końca dnia. Sophie usiadła razem z Jenny w cieniu drzew gumowych, patrząc na słodko teraz śpiącą Stephanie.

- Jak myślisz, może zmienię jej pieluszkę na suchą? - nieśmiało spytała Jenny, ale Sophie potrząsnęła głową.

- Czy naprawdę jesteś lekarzem? - spytała młoda matka, unikając jej spojrzenia.

Sophie uśmiechnęła się i skinęła głową. Jenny nie odwzajemniła jednak uśmiechu, myśląc o czymś intensywnie.

- Może mogłabyś przepisać Stephanie jakiś antybiotyk? - spytała cicho. - Moja teściowa na pewno powie, że mała miała konwulsje dlatego, że Reith nic jej wczoraj nie przepisał.

- Czy przeziębienie Stephanie było poważne?

- Nie, miała katar i lekko podwyższoną temperaturę.

- W takim razie nie dostanie antybiotyku - oznajmiła Sophie. -

Przeziębienie jest sprawą wirusową i antybiotyki, nawet najlepsze, nic nie

pomogą. Gdyby wirusy spowodowały jakąś infekcję - na przykład zapalenie ucha - wtedy antybiotyki mogłyby zniszczyć bakterie. W innych wypadkach powodują więcej szkody niż pożytku.

- Szkody?

- Jeżeli z powodu każdej błażej choroby będziesz Stephanie nimi faszerować, wtedy, w razie jakiejś poważniejszej infekcji, nie będą działać tak, jak powinny.

- To samo powiedział mi wczoraj doktor Kenrick.

- Zgadzam się z nim w zupełności - podsumowała Sophie.

- Miło mi.

Niespodziewanie usłyszała głęboki głos i drgnęła zaskoczona. Reith zbliżył się niezauważony, stąpając cicho jak kot. Przykucnął przy nich.

- Uwierzyłaś mi wreszcie, Jenny?

- Tak... Ja nie chciałam podważyć tego, co mówiłeś. Po prostu teściowa mówiła, że jestem złą matką.

- Czasami trudno jest zdecydować, komu uwierzyć - zgodził się Reith. - Ale musisz wyrobić sobie własne zdanie i umieć go bronić w razie potrzeby.

- Spróbuję. - Jenny słabo się uśmiechnęła. - Ale porozmawiasz z babcią Lee, dobrze?

- Obiecuję. Mówiłaś, że ma być u ciebie na lunchu?

- Tak. - Jenny spojrzała nerwowo na zegarek. - Uff, jest dopiero jedenasta, ale i tak powinnam już wracać.

- Wpadnę do ciebie po południu - poinformował ją Reith, kiedy podnosiła śpiącą Stephanie. Spojrzał pytająco na Sophie. - Moglibyśmy przyjść razem; doktor Lynton jest bardzo przekonująca.

- Ale - Sophie pokręciła głową - ja...

- Nie chcesz zjeść ze mną lunchu? Najpierw zawiozę cię z powrotem do Moiry, żebyś mogła włożyć coś odpowiedniego...

- Coś odpowiedniego? - oburzyła się Sophie.

Spojrzała na swój strój i zamarła. Jej mokra bluzka była prawie przezroczysta, a na dodatek oblepiała piersi, uwydatniając ich kształt. Zaczerwieniła się i otuliła rękami, próbując się zasłonić.

- Trochę za późno, nie uważasz? - spytał z uśmiechem. - Bardzo kuszące, ale wątpię, czy babcia Lee podzieli moją opinię.

- Odwieź mnie do pani Sanderson - odpowiedziała sztywno. - I jeśli nie potrzebujesz mnie...

- Ależ potrzebuję. Wydaje mi się pani coraz bardziej interesująca, pani doktor.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Już w ciężarówce Sophie uświadomiła sobie, że Reith, zapraszając ją, kierował się przede wszystkim względami praktycznymi.

- Chciałbym skorzystać z tej nadarzającej się okazji i przedstawić cię Margaret Lee - wyjaśnił, kiedy odjeżdżali spod pensjonatu Moiry Sanderson.

Sophie była ubrana w zapiętą pod samą szyję, luźną, bawełnianą sukienkę, pod którą, pamiętając o porannych wydarzeniach, włożyła stanik.

- Mówisz o teściowej Jenny?

- Tak. - Bębnił w zamyśleniu palcami o kierownicę. - Ostatnio zachowuje się tak, jakby mnie nienawidziła.

- Dlaczego?

- Najgorsze jest to, że nie mam pojęcia. Margaret od lat jest moją pacjentką. Ostatni raz widziałem ją co prawda pół roku temu, jednak jak mi wiadomo, nie chodzi do innego lekarza. Zamiast tego rozpowiada wszystkim o mnie jakieś bzdury.

- I pewno chcesz, żebym poznała przyczynę?

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu...

- A dlaczego uważasz, że pani Lee mi zaufa? - spytała głosem pełnym wątpliwości.

- Bo jesteś kobietą.

- Ale nie czarodziejką.

- Pewnie nie. - Po jego ustach przemknął cień uśmiechu.

- Ale może, kiedy zostaniecie na jakiś czas same, Margaret sobie ulży i ponarzeka na mnie, albo ty pociągniesz ją za język.

- Odstrasza ci pacjentów? - spytała sarkastycznie. Reith był zaskoczony.

- Wydaje mi się, pani doktor, że nie znasz miejscowych realiów.

Mieszkańcy Inyabarry są na mnie po prostu skazani. W promieniu kilkudziesięciu kilometrów nie ma innego lekarza.

- Więc co tobą powoduje?

- Przeczucie. Obawiam się, że pani Lee ma jakieś problemy. Jenny z mężem martwią się o nią; podobno jest roztargniona, gderliwa i szybko chudnie. Dlatego bardzo mi zależy na twojej diagnozie, pani doktor.

Dom Jenny Lee znajdował się nieco poza miastem, wysoko na grani, skąd rozciągał się wspaniały widok na góry i całą Inyabarę.

- Mąż Jenny jest nauczycielem - wyjaśnił Reith, kiedy wchodzili po schodach prowadzących do frontowych drzwi. - Tak jak ja nie umiał nigdzie indziej ułożyć sobie życia.

- Nic dziwnego - odparła Sophie, rozglądając się z zachwytem po okolicy.

- Cudowne miejsce.

- Wszyscy turyści to powtarzają. Zirytował ją.

- A tobie się nie podoba? Reith wzruszył ramionami.

- Tu jest mój dom.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, drzwi się otworzyły i ujrzeli uśmiechniętą, ale wyraźnie zdenerwowaną Jenny.

- Jenny, kto tam?! - Z głębi domu dobiegł zrzędlawy głos.

- To doktor Kenrick, mamó! - krzyknęła w odpowiedzi Jenny. - I do...

Urwała w pół słowa, bo Reith położył jej rękę na ustach.

- Nie „doktor - szepnął pospiesznie. - Chyba że już mama wie, czym zajmuje się Sophie.

- Ale dlaczego? - Jenny była wyraźnie zaintrygowana.

- Bo twoja teściowa nie przepada za lekarzami, a chciałbym, żeby polubiła Sophie.

Pani Lee wstała, kiedy wchodzili do jadalni. Była niską i bardzo szczupłą kobietą, a jej ostre, przenikliwe spojrzenie zdawało się wszystko dostrzegać.

- Nie wiem, po co tu w ogóle przyszedłeś - zwróciła się nieprzyjaźnie do Reitha, zupełnie ignorując Sophie. - Już dosyć szkód narobiłeś.

- Co ma pani na myśli? - spytał przyjaźnie, jakby te ostre słowa zupełnie go nie dotyczyły.

- Mówiłam Jenny, żeby podała małej penicylinę, ale ona wolała słuchać ciebie. Zabijesz mi jedyną wnuczkę!

- Stephanie nie potrzebowała penicyliny.

- To dlaczego dostała konwulsji?

- Konwulsji dostała dlatego, że była za ciepło ubrana - wyjaśnił spokojnie.

- Mówiłem już, że Stephanie nie powinna być ubierana w nic poza lekkim kaftanikiem i pieluszką. To jest zalecenie lekarza i ostrzegam, że lekceważenie go może doprowadzić nawet do śmierci małej. Jeżeli pani namówi Jenny do postępowania sprzecznego z moją radą, cała odpowiedzialność będzie spoczywać na pani.

- Mamo, przepraszam, jeśli ci sprawię przykrość - włączyła się Jenny - ale wydaje mi się, że doktor Kenrick ma rację.

Pani Lee zacisnęła usta.

- Wy, lekarze, na niczym się nie znacie.

Sophie zaskoczyła siłą nienawiści, która biła z całej postaci pani Lee. Co może być tego przyczyną?

Nagle olśniło ją. Widziała już kiedyś kogoś w takim stanie: to był krewny pewnego śmiertelnie chorego pacjenta, który próbował znaleźć winnego i całą odpowiedzialnością obarczył lekarza, który przekazał mu złą nowinę.

Reith podszedł do kołyski, w której spokojnie spała Stephanie. Dotknął jej czoła i zadowolony pokiwał lekko głową.

- Chyba już nie będzie kłopotów.

- Dziękuję ci, Reith. - Głos Jenny był przepelniony wdzięcznością.

Spojrzała na nakryty stół i zapytała, unikając wzroku teściowej: - Może zostaniecie na lunch?

- Nie, dziękujemy. - Reith potrząsnął głową i zerknął na zegarek. - Już jedliśmy. - Spojrzał niechętnie w stronę Sophie i ściszył głos, zwracając się w stronę Jenny i jej teściowej: - Ta okropna kobieta chce, żebym ją obwiózł po okolicy, zupełnie jakbym nie miał lepszych rzeczy do roboty.

Sophie spojrzała na niego ze zdziwieniem. Mówił tak cicho, że mogła się tylko domyślać słów, Ich spojrzenia spotkały się i wtedy zrozumiała, że właśnie zaczyna się przedstawienie.

- Nie mamy zbyt dużo czasu - zaczęła, udając nadąsaną.

Nie bardzo wiedziała, co ma dalej robić, ale pani Lee chwyciła przynętę.

- Skąd jesteś, kochanie? - spytała z wyraźnym zainteresowaniem. Jej spojrzenie oznajmiało wszem i wobec, że każdy wróg Reitha Kenricka jest jej przyjacielem.

- Z Anglii, oczywiście - odpowiedział Reith znudzonym tonem. - Gdzie indziej nauczyłaby się mówić z takim potwornym akcentem? Zupełnie jak nasza królowa.

- Królowa jest bardzo porządną kobietą - odparowała pani Lee, która zaczynała go chyba podejrzewać o anarchizm. Uśmiechnęła się słodko do Sophie. - Ja też jestem Angielką. Przyjechałam tutaj, kiedy byłam młodą panią, spotkałam mojego męża i zostałam na zawsze. Ale dlaczego

marnujesz czas z tym gburem? - Spojrzenie, którym obdarzyła Reitha, było pełne jadu.

- Doktor Kenrick jest jedną z dwóch osób, które tutaj znam - odparła Sophie powoli. - Oczywiście nie licząc państwa. Mieszkam w pensjonacie Moiry Sanderson i czekam na przyjazd mojego narzeczonego.

- W takim razie zapraszam cię jutro na lunch - zadecydowała pani Lee. - Pokażę ci swoje albumy z rodziną królewską. A na podwórku może uda ci się zobaczyć koalę.

- W końcu po co mam iść na lunch do pani Lee? - spytała Sophie, wsiadając z Reithem do ciężarówki.

- Ponieważ martwię się o nią, a mnie, jak widzisz, nie dopuści do siebie. Pójdź i postaraj się jak najwięcej od niej wyciągnąć.

- Mam udawać ciekawską i mało uprzejmą turystkę?

- To chyba jedyny sposób. Zresztą, nie masz nic do stracenia, a poza tym pani Lee świetnie gotuje. Jeśli zaś mowa o lunchu...

Zjedli go u Reitha. Mieszkał nad tym samym strumieniem, co Moira Sanderson, tylko nieco wyżej.

Sophie usiadła przed domem, w cieniu drzew gumowych. Rozglądając się wokół pomyślała, że to świetne miejsce dla artysty, ale o wiele gorsze na gabinet lekarski.

- Czyżby coś ci tutaj nie odpowiadało? - Reith wyszedł z domu, trzymając w jednym ręku koc, w drugim butelkę wina. Spojrzał na koszyk jedzenia od Moiry Sanderson i uśmiechnął się. - Ja przyniosłem picie.

- A czy nie jest za wcześnie? - spytała zdziwiona Sophie.

- Kieliszek wina, a potem krótka drzemka; tak się podobno przyjęło w cywilizowanym świecie.

- Ale co zrobisz, jak będziesz miał wezwanie?

- Odrobina alkoholu nie zmniejszy moich lekarskich umiejętności.

Mimo wszystko takie postępowanie wydawało się Sophie niewłaściwe. Wyraz twarzy musiał zdradzić jej myśli, bo na ustach Reitha zobaczyła lekki, drwiący uśmiech.

Drań!

Wyjęła jedzenie z kosza, a on napełnił kieliszki schłodzonym, mozelskim winem.

- Kiedy przyjmujesz pacjentów? - spytała Sophie z zaciekawieniem. To była najdziwniejsza praktyka, jaką kiedykolwiek widziała.

- O tej porze roku głównie wieczorami, od piątej do dziewiątej, chyba że zdarzy się jakiś nagły wypadek. Ludzie to rozumieją, przecież każdy z nich też może za tydzień lub dwa, między piątą a dziewiątą, spaść z drzewa. Zresztą są wdzięczni, że w ogóle dostają jakąś poradę lekarską.

- A jeśli masz kilka wezwań naraz? Wzruszył ramionami.

- Jakoś muszę sobie radzić. W poważniejszych przypadkach odwożę chorych do najbliższego szpitala, jakieś pięćdziesiąt kilometrów stąd, chociaż czasami muszę sam wykonywać poważniejsze zabiegi, nawet operacje.

- Żartujesz?!

- Ostatniego roku miałem pacjentkę hippiskę z miasta, która wymarzyła sobie, że urodzi dziecko w buszu. Ona i jej chłopak rozbili namiot na górze Ranree i tam jednoczyli się z naturą. Dziewczyna przez całą ciążę nie widziała lekarza, więc nie miał kto zauważyć gestozy. Kiedy zaczęły się kłopoty, niedoszły ojciec przyjechał do mnie po pomoc. Zanim udało mi się zorganizować jakiś samochód z napędem na cztery koła, stan zdrowia matki był tak poważny, że wykluczał transport. Musiałem tam, w górach, pod gołym niebem, prawie bez narzędzi zrobić cesarskie cięcie. Miałem dużo szczęścia, że zabieg się udał.

Sophie zamknęła oczy: tak wyglądały jej nocne koszmary.

- A nie mogłeś podać jej jakichś leków?

- Stan był bardzo ciężki i bałem się, żeby nie zapadła w śpiączkę. Wtedy nie mógłbym uratować dziecka.

- Trudno ci było podjąć decyzję, prawda?

- Tak, ale ty na pewno nie spotkasz takiej sytuacji, pracując w nowoczesnym szpitalu w Londynie.

Reith wziął kanapkę.

- Nie lubisz miasta?

- Nienawidzę.

- Za dużo ludzi?

- Właśnie.

Milczeli przez resztę posiłku. Sophie chciała zadać jeszcze wiele pytań, ale on tworzył wokół siebie atmosferę rezerwy, która ją onieśmiałała.

Wzmagał się upał, poczuła ogarniającą ją senność, oczy powoli jej się zamykały.

- Zaśnij - powiedział cicho, kładąc ją na kocu.

- Nie będę spała z...

- Ze mną? - Uśmiechnął się. - Jesteś bardzo pruderyjna, pani doktor. Co by o tym pomyślał nieobecny Kevin? - Położył się na kocu koło niej, zakrywając twarz kapeluszem. - Ale koło mnie możesz się położyć, prawda? Zresztą nie masz zbyt dużego wyboru, bo nie ma kto odwieźć cię do domu.

Ku swojemu zaskoczeniu Sophie zasnęła. Od czasów dzieciństwa nigdy sobie tak nie pofolgowała, żeby zasnąć w środku dnia, w dodatku w towarzystwie obcego mężczyzny. Co więcej, wydawało jej się to zupełnie naturalne.

Obudziła się wypoczęta, z przeczuciem, że czeka ją coś nowego...

- Lemoniady? - Reith trzymał dwie szklanki bladożółtego płynu, w których pobrzękiwały kostki lodu. - Sam robiłem.

Usiadła i przetarła oczy.

- Która godzina?

- Czwarta. W tym czasie miałem dwie domowe wizyty. Szkoda, że się obudziłaś, wspaniale zdobisz mi ogród.

- Na pewno lepiej niż gipsowy krasnal. - Niespodziewane pochlebstwo sprawiło jej dużo przyjemności. Wzięła od niego szklanekę. - Dziękuję.

Stał koło niej, milcząco się jej przypatrując.

- Nie ma za co - powiedział w końcu i spojrzał na zegarek. - Lepiej będzie, jeśli odwiozę cię teraz do Moiry. Za godzinę zaczynam przyjmować.

- A czy mogę najpierw zobaczyć twój gabinet? Z jakiegoś powodu nie chciała odjeżdżać. Prawdopodobnie już nigdy nie zobaczy tego człowieka, przecież pojutrze przyjeżdża Kevin.

Nagle uświadomiła sobie, że nie ma wcale pewności, czy Kevin na pewno przyjedzie. Poczula się bardzo samotna, zaś wizja piątku wyraźnie straciła na wyrazistości.

- Jasne. - Reith podał jej rękę, pomagając wstać.

Samotność ustąpiła miejsca czemuś innemu...

Sophie, o czym ty, do diabła, myślisz?

Myślała o tym szczupłym, samotnym mężczyźnie, który uśmiechał się do niej, był uprzejmy i niczego od niej nie oczekiwał. Był absolutnie samowystarczalny.

Więc co tak ją męczy? Przecież on dla niej nic nie znaczy.

A może jednak?

Reith spojrzał na nią lekko zaniepokojony.

- Czy coś się stało?

Szybko się otrząsnęła i uwolniła rękę z jego uścisku.

- Nie, nic, dziękuję. Prowadź, proszę.

Pokazał jej swój gabinet z tą samą uprzejmością co zawsze. Nie oczekiwał ani zainteresowania, ani pochwał, a kiedy je otrzymał, podniósł zdziwiony brwi.

- Na pewno w Londynie widziałaś nowocześniejsze przychodnie.

- Oczywiście - zgodziła się. - Gorsze też. Ale nigdy nie widziałam, żeby lekarz samodzielnie prowadzący praktykę miał tak dobrze wyposażony gabinet. Czy to ci się opłaca? - spytała, wskazując na aparat Rentgena.

- Oczywiście, że nie. Ale spróbuj powiedzieć to farmerowi, który przychodzi do mnie ze złamaną nogą i nie ma ani czasu, ani pieniędzy, żeby pojechać na leczenie do miasta.

- Okoliczni rolnicy nie są zbyt bogaci, prawda?

- Można tak powiedzieć - zgodził się sucho. - Dla wielu ludzi jestem ostatnią deską ratunku, a są w stanie zapłacić bardzo niewiele albo wcale. Kiedyś farmerzy mogli tu wypasać bydło, ale odkąd ustanowiono na tych terenach park narodowy, z dnia na dzień znaleźli się w sytuacji bez wyjścia.

- Dlaczego wróciłeś? - spytała miękko. - Z powodu miejsca czy ludzi?

- Miejsca - odparł szybko. - Nie potrzebuję ludzi.

- Nikogo?

Pytanie zabrzmiało tak bezpośrednio, że Sophie się przestraszyła.

- Myślę, że to nie jest tylko moje odczucie. Pomyśl o sobie: dokąd zaprowadzi cię przywiązanie do nieobecnego Kevina?

- Będę miała rodzinę, dzieci, ciepło i radość.

- Albo kłopoty z sercem.

- To cyniczne.

- Tylko uczciwe.

- A Moira Sanderson? - Sophie nie poddawała się. - Przeżyła trzydzieści lat ze swoim mężem, Patrykiem.

- A potem?

- Umarł - przyznała. - Ale te trzydzieści lat były coś warte, nieprawdaż?

Wzruszył ramionami, co zapewne miało oznaczać, że nie dla niego.

Spojrzał na zegarek.

- Skąd mam wiedzieć? Jeśli o mnie chodzi, nie dam się wplątać w żadne uczucia. Nie potrzebuję emocjonalnego balastu. Jeśli chcesz, pokażę ci pracownię mojego ojca.

Balast emocjonalny!

Przygryzła wargi, ale nie odpowiedziała.

Pokój, do którego weszli, zadziwił ją. Był cały oszklony, z cudownym widokiem na otaczający dom las. Tuż za oknem szumiał spływający po skałach strumień, a w oddali rysowały się pokryte mgłą szczyty gór.

Wspomnieniem dawnego przeznaczenia tego pomieszczenia były sztalugi, na których stały dokończone obrazy. Teraz zapewne mieszkał w tym pokoju Reith, o czym świadczyła masywna, skórzana kanapa, perski dywan na podłodze i książki rozrzucone na niskich półkach pod ogromnymi oknami. Sophie spojrzała na Reitha i odniosła wrażenie, że jej obecność tutaj nie jest do końca pożądana. Poczula się jak natrętna turystka, której każdy chce się pozbyć.

Nie da się wyrzucić. Przecież on sam zaproponował jej obejrzenie tego pokoju. Zwróciła uwagę na stojące na sztalugach obrazy. Większość z nich wyglądała tak, jak jej opisywała Moira Sanderson: widziała szkielety, upiory, pokrętnie kształty. Kilka z nich jednak odbiegało od schematu; były to delikatne akwarele wyrażające ból, który zaczynała powoli rozumieć.

Szczególnie jedna przyciągnęła jej uwagę...

W otoczeniu ciemnej gęstwiny lasu widniało na niej błyszczące jezioro o gładkiej powierzchni, nie zmarszczonej nawet najdrobniejszą falą. Na tak pozornie sielski obrazek nałożona została twarz kobiety, spoglądająca posepnie spoza drzew jak przez kraty więziennej celi.

W wyglądzie kobiety Sophie uchwyciła jakiś znajomy wyraz. Wiedziona nagłą myślą spojrzała na Reitha: takie same wydatne kości policzkowe i pełne dystansu spojrzenie. Tak jak on ukrywała się w lesie, nie pozwalając na żadne zbliżenie. Chciała uciec od wszystkich, ale wyraz jej oczu mówił, że to niemożliwe.

Obraz nosił podpis: „Niewolnica buszu”.

- To twoja matka? - spytała cicho. - Nie lubiła tego miejsca, prawda?

- Mój ojciec nie powinien był jej tu sprowadzać. To nie jest miejsce dla kobiety.

- Przecież szczęśliwe kobiety też tu żyją.

- Może są szczęśliwe, jeśli nie znają innych miejsc.

- Więc kiedy się ożenisz...

- Nie ożenię się. - Oczy Reitha zamieniły się w lód i Sophie uświadomiła sobie, że wkroczyła w strefę, gdzie nikt nie jest mile widziany. Jednocześnie uchwyciła w jego spojrzeniu pełną bólu samotność, której nie potrafiła zignorować.

- To, że twoi rodzice się nie kochali, nie jest chyba wystarczającą przyczyną...

- Czy jestem na kozetce u psychoanalityka? - wybuchnął niespodziewanie. - Nie prosiłem cię o radę! Zdaje mi się, że nie potrafisz rozwiązać swoich problemów! Twojemu narzeczonemu jakoś się tutaj nie spieszy, choć ma być ojcem twoich dzieci. Zresztą, ty sama się nim zbytnio nie przejmujesz.

- To nie twój...

- Interes? - dokończył za nią. - I kto to mówi? Właśnie tym jest małżeństwo - interesem, ubezpieczeniem na życie.

- Kevin nie jest...

- Nie jest jaki? Taki jak inni mężczyźni? Bzdura, pani doktor, dobrze o tym wiesz. Czy naprawdę myślisz, że istnieje tylko jedna miłość? Co zrobisz, jeśli Kevin nie przyjedzie w piątek? Oczywiście, ucierpi twoja duma, może zmienisz plany, ale co więcej?

- Myślisz, że wychodzę za mąż z wyrachowania?

Sophie nie mogła zrozumieć, co spowodowało jego nagły wybuch. Została wciągnięta do rozmowy, w której nie chciała brać udziału.

- A nie? Wszyscy tak robią.

- Nie! - zawołała z rozpaczą.

Nie mogła myśleć w ten sposób. Ona kochała Kevina, był dla niej wszystkim.

- Jak bardzo go kochasz? Pamiętasz może, jak reagowałaś, kiedy cię przenosiłem do łóżka?

- To nie z twojego powodu. Potrząsnął głową.

- Kłamiesz.

- Ty arogancki draniu! - Oddychała nierówno, krew odpłynęła jej z twarzy. - Przeceniasz się, jeśli choć przez chwilę pomyślałeś, że coś do ciebie czuję!

- Och, oczywiście, to nic osobistego - zgodził się, patrząc na nią tak, jak ogląda się w muzeum jakiś ciekawy eksponat. - Zachowujesz się w ten sposób w stosunku do każdego mężczyzny, który znajdzie się w pobliżu. Kevin nie jest przecież jedyny. Wiele jest takich, co to mają okazałe konta w banku i maniery, które jesteś w stanie zaakceptować.

- Nie!

- Tak! - ciągnął bezlitośnie. - Gdybyś go kochała, twoje ciało by cię nie zdradzało. Spójrz prawdzie w oczy, idealna miłość nie istnieje.

- Istnieje! Musi istnieć!

Sophie zachowywała się jak małe dziecko, któremu po raz pierwszy powiedziano, że nie ma świętego Mikołaja. Za kogo uważa się ten mężczyzna, że ma czelność mówić jej takie rzeczy?

- Udowodnij mi to - odparł miękko i zanim zdołała zareagować, podszedł do niej.

Jedną ręką chwycił jej oba nadgarstki, drugą zaczął delikatnie gładzić włosy. Po chwili ich usta się zetknęły. Nie opierała się. Nawet gdyby miała swobodne ręce, nic by nie wskórała w obliczu jego siły. Zamknięta w żelaznym

uścisku, czuła się jakby oddana mu we władanie. Mógł z nią zrobić to, na co miał ochotę, nie zważając na jej wolę.

Dlaczego? Dlaczego on się tak zachowuje?

Jego zaborcze pocałunki wywoływały w niej nieznane dotąd uczucia. Nagle uświadomiła sobie, że jego pasja nie wynika z gniewu czy złości, ale z niespełnionego pragnienia przeżycia czegoś, przed czym się rozpaczliwie broni. Reith przysięgał, że nikogo nie potrzebuje, ale te pocałunki odkrywały prawdę. Ku swemu zaskoczeniu zauważyła, że jej ciało akceptuje jego pożądanie. A więc on ma rację - wystarczy bliskość innego mężczyzny, aby wyrzekła się swoich zasad.

Pomyślała o Kevinie.

Odruchowo cofnęła usta i poczuła, że ręce ma znowu swobodne.

Ciszę, która zapadła, przerywał tylko jej przyspieszony oddech. Reith obserwował ją z ciekawością. Jego oczy były, jak zawsze, pełne cynizmu. Nie bardzo wiedziała, co powinna powiedzieć i jak się zachować.

- Dlaczego to zrobiłeś? - szepnęła. - Chciałeś mnie ukarać?

- Za co miałbym cię karać, Sophie? - spytał. Ku jej zdziwieniu jego głos nie brzmiał tak spokojnie, jak zwykle. Położył jej rękę na ramieniu. - Chciałbym zaprosić cię do mojego łóżka.

Sophie zwilżyła językiem wysuszone usta

- Podejrzewam, że byłoby to bardzo samotne miejsce dla każdej kobiety.

- Chcesz się przekonać?

- Nie!

- Nie dowiesz się, jeśli nie sprawdzisz. - Popatrzył na nią wyzywająco, ale Sophie jedynie potrząsnęła głową.

- Zaczynam cię poznawać, Reith. I współczuję każdej, która zechciałaby się kiedykolwiek z tobą związać.

- Dlaczego?

- Bo ty potrzebujesz nie kobiety, a jedynie seksualnego spełnienia.

- A Kevin ma inne potrzeby?

- Tak.

Ale zaczęła się nad tym zastanawiać.

Pomyślała ze strachem, że przecież musi mieć inne potrzeby, skoro zamierza się z nią ożenić. Nerwowo dotknęła zaręczynowego pierścionka z brylantem, jakby sprawdzając, czy jest na swoim miejscu.

A ta kobieta, którą słyszała przez telefon?

Fala zwątpienia i niepewności powróciła ze zdwojoną siłą. Jej twarz musiała zdradzać wewnętrzną walkę, bo nagle spojrzenie Reitha złagodniało.

- No, Sophie - powiedział delikatnie. - Nie chciałem ci sprawiać przykrości.

- Ale zrobiłeś to - wyszeptała niepewnie. - Nieważne, czy było to twoim celem czy nie. A teraz, jeśli możesz, odwieź mnie do domu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Sophie prawie nie spała tej nocy. Przewracając się z boku na bok, bezskutecznie próbowała zapomnieć o pocałunku Reitha.

A przecież wkrótce, już za trzydzieści sześć godzin, przyjedzie Kevin. Wtedy będzie musiała zapomnieć.

Dobry Boże, Sophie! - myślała. Przecież masz już dwadzieścia osiem lat, jesteś doktorem medycyny, a zachowujesz się jak przeżywająca pierwszą miłość nastolatka. I to tylko dlatego, że jest ci żal jakiegoś mężczyzny.

Żal? Czy było jej żal Reitha?

Nie, to śmieszne. Po prostu rozumie go trochę lepiej niż inni; mają przecież podobne wspomnienia z dzieciństwa.

- Ale ja się pozbierałam - powiedziała do siebie. - Jemu też by się udało, gdyby chciał. Ja nie jestem mu do tego potrzebna.

Zresztą, on nie potrzebuje nikogo, sam to ciągle powtarza. Po raz nie wiadomo który przewróciła się na drugi bok, ciągle nie mogąc zasnąć. Im szybciej przyjedzie Kevin i wezmą ślub, tym lepiej.

Tylko nie wiadomo, czy Kevin znajdzie dla niej wolny dzień w swoim szczelnie wypełnionym kalendarzu...

Musi przestać myśleć w ten sposób, nie ma przecież powodów, żeby posądzać Kevina o niewierność. Jeśli teraz mu nie ufa, to jak może z nim wiązać swoją przyszłość?

- Ależ ufam mu! - szepnęła, ale wiedziała, że to nieprawda.

Natarczywy dźwięk telefonu ostro przerwał ciszę. Usłyszała kroki Moiry Sanderson, spieszącej, żeby go odebrać.

Sophie, będąca do tej pory jedynym gościem, pomyślała, że pewno dzwonią jacyś turyści, chcący zarezerwować pokój. Właściciel pensjonatu musi być o każdej porze na posterunku, zupełnie jak lekarz.

Ale to nie był gość.

Usłyszała pukanie do drzwi.

- Sophie, kochanie, nie śpisz?

- Nie.

Usiadła i cicho zaklęła, kiedy uświadomiła sobie, że to pewno dzwoni Kevin, odwołując swój piątkowy przyjazd.

Włączyła nocną lampkę i spojrzała na zegarek. Druga nad ranem w Australii to późne popołudnie w Belgii, a znając swojego narzeczonego wiedziała, że nie przejąłby się zbytnio tym, że ją obudzi.

- Założę się, że nawet nie przeprosił Moiry za telefon o takiej porze - mruknęła pod nosem. - Już idę! - zawołała, odrzucając koc.

- Sophie, to doktor Kenrick - wyjaśniła wyraźnie zaniepokojona Moira. - Potrzebuje twojej pomocy.

- Jakiej pomocy? - spytała mało przytomnie. Ale, przyzwyczajona do nagłych sytuacji, szybko odzyskała równowagę. - Czy jest jeszcze przy telefonie?

- Już się rozłączył, bardzo się spieszył. Prosił, żeby ci przekazać, żebyś natychmiast przyjechała do Bellów.

- Kto to?

- Rodzina, która mieszka poza miastem, na wzgórzu. - Moira mówiła szybko i była bardzo zdenerwowana. - Trevor Bell to dziwak, podobno schizofrenik. Samotnie wychowuje dziecko. Dziś jego sąsiedzi słyszeli strzały, a potem znaleźli samotnie błąkającą się małą dziewczynkę, jego córeczkę, całą we krwi. Kiedy Ted, ten sąsiad, poszedł do Trevora zobaczyć, co się stało, ten postrzelił go w nogę. Teraz zabarykadował się w swoim domu i strzela do wszystkiego, co się rusza. Policja jest w drodze, Reith będzie tam za pięć minut. Chyba potrzebuje wsparcia.

- Wsparcia? - Wyglądało na to, że potrzebuje całej armii.

- Czy ma pielęgniarkę do pomocy?

- W Inyabarze jest pielęgniarka, ale wyjechała odwiedzić swoich rodziców.

- Już się ubieram. - Sophie szybko wkładała dżinsy.

- Zawiozę cię - oznajmiła Moira.

W małych miasteczkach wieści rozchodzą się bardzo szybko. Kiedy dotarły na miejsce, zastały już sporą grupę gapiów, wóz strażacki i potężnego policjanta.

Moira, ustrojona w karmazynowy szlafrok, z wałkami na głowie, przepchnęła się przez grupę mieszkańców, torując Sophie drogę.

- Odsuńcie się! Przepuście doktor Lynton.

Reith powitał ich z wyraźną ulgą, a Sophie znowu poczuła się jak narzędzie, jak para sprawnych rąk.

Schyliła się nad leżącym mężczyzną, którym zajmował się Reith, starając się szybko ocenić sytuację. Noga rannego od biodra w dół przypominała krwawą masę.

- Postrzał?

- Aha. - Reith starał się powstrzymać obfite krwawienie.

- Potrzebuję tlenu, jest w mojej torbie.

Sophie szybko znalazła maskę i założyła rannemu na twarz. Sprawdziła puls - był bardzo słaby, mężczyzna wyraźnie się wykrwawiał.

Pomyślała, że trzeba zadbać o dopływ krwi do mózgu i umieścić głowę poniżej serca.

Rozejrzała się wokół i zobaczyła, że ktoś przyniósł kilka grubych kocy. Złożyła je razem i spróbowała wepchnąć pod plecy rannego.

Napotkała spojrzenie Reitha; natychmiast zrozumiał, co chciała zrobić i sprawnie pomógł jej podnieść korpus mężczyzny. Teraz więcej krwi będzie płynąć do mózgu, a mniej wypływać przez ranę na nodze.

- Stracił bardzo dużo krwi, a ja ciągle nie mogę zatamować krwotoku - powiedział Reith, nie przerywając pracy. - Przygotuj kroplówkę, proszę. Tam znajdziesz wszystko. - Głową wskazał, gdzie ma szukać potrzebnego sprzętu.

Przeszukując jego lekarską torbę, poczuła na sobie mętne od bólu spojrzenie rannego.

- Podałeś morfinę? - spytała Reitha.

- Tak - odparł i zwracając się do cierpiącego mężczyzny, dodał: - Za chwilę poczujesz ulgę, Ted.

Ted wymamrotał słowa podziękowania.

- Sophie, gdzieś tutaj jest ranna dziewczynka. Zbadałem ją pobieżnie. Rany nie wydają się poważne, ale jest w szoku. Możesz się nią zająć?

Skinęła głową. Jedna z kardynalnych zasad udzielania pierwszej pomocy każe obejrzeć wszystkie ofiary wypadku przed przystąpieniem do poważniejszych czynności. Powinno się najpierw udzielić pomocy najciężej

rannym, bo oni jej najbardziej potrzebują. Jeżeli zaś życie dwóch osób jest zagrożone, należy ratować najpierw tę, która ma większe szanse na przeżycie. Czasami dokonanie wyboru może być dla lekarza bardzo trudne.

- Ile lat ma dziewczynka?

- Cztery. - Reith nie przerywał rozpaczliwej walki z krwotokiem. - Cholera, kończy mi się lignina! - W jego głosie zabrzmiał strach, że nie uratuje swojego pacjenta. Sophie bardzo chciała mu pomóc, ale w tej chwili musiała podłączyć kroplówkę. Szybko wkuła igłę, dziękując Bogu, że mężczyzna ma szczupłe ręce z widocznymi żyłami. Umocowała butelkę i sprawdziła, czy wszystko jest w porządku.

- Kroplówka z osoczem podłączona - oznajmiła, przymocowując plastrzem igłę do dłoni rannego.

Teraz już mogła się skoncentrować na potrzebach Reitha. Lignina.

Rozejrzała się po grupie gapiów: może się do czegoś przydadzą?

- Moira! - zawołała, odrywając ją od pocieszania popłakującej kobiety. - Moira, potrzebuję koszul, bawełnianych podkoszulków lub bielizny, dużo i szybko!

- Oczywiście.

Moira odwróciła się, mówiąc coś do zabranych. Mężczyźni zaczęli ściągać koszule. Po chwili z pełnym ich naręczem wróciła do Sophie.

- Czy masz jakieś problemy? - spytała Sophie, niespokojnie obserwując płaczącą kobietę, która najwyraźniej wpadała w histerię.

- Przydałoby się wiadro zimnej wody. Elvira zawsze się tak zachowuje, to znana panikara. Ale ja sobie poradzę - ponuro odparła Moira. - Czy mogę zrobić coś więcej dla ciebie?

- Znajdź mi tę raną dziewczynkę.

Moira skinęła głową i szybko odeszła na poszukiwania. Wałki w jej włosach śmiesznie podrygiwały, poły szlafroka zamiatały ziemię.

- Czy jesteśmy poza zasięgiem strzelby tego szaleńca? - spytała Sophie Reitha, drąc koszule na kawałki. Wiedziała, że jutro będzie miała z tego powodu kłopoty. Niezależnie od tego, jak poważny jest wypadek, po jakimś czasie większość ludzi upomina się o swoją własność. Pewno okaże się, że połowa z tych koszul jest ich najlepszymi ubraniami i będzie musiała za nie zapłacić.

- Na szczęście tak. Ted twierdzi, że Trevor ma tylko strzelbę, bo nie chciałbym być tutaj, gdyby posługiwał się karabinem.

Widząc, że Ted próbuje coś powiedzieć, Sophie podniosła na chwilę maskę tlenową z jego twarzy.

- To kompletny wariat - mówił niewyraźnie. - Kiedyś odniosłem mu koguta, który przelazł na moją stronę, a on powiedział, że mnie zabije, jeśli jeszcze raz zbliżę się do jego domu.

Ted umilkł zmęczony. Sophie założyła mu z powrotem maskę i sprawdziła puls. Był nadal słabo wyczuwalny, ale regularny. Gdyby tylko Reith zdołał powstrzymać krwawienie...

- Udało się! - oznajmił Reith z wyraźną ulgą i spojrzał na Sophie. - Krwotok zatrzymany. Podaj mi, proszę, plaster, muszę umocować opatrunek.

- Czy możemy liczyć na jakąś karetkę? - spytała Sophie, grzebiąc w torbie w poszukiwaniu plastra.

- Naczelnik straży pożarnej już wezwał helikopter. Jeśli będziemy mieli szczęście i nie przewozi akurat innego pacjenta, to możemy się go spodziewać za jakieś pół godziny. Musimy jeszcze dodać godzinę na lot powrotny do Melbourne.

To nie była dobra wiadomość. Ted potrzebował jak najszybciej operacji i przeszczepu tkanki - prawdopodobnie większość naczyń krwionośnych w nodze została poszarpana przez kulę. Sophie wyprostowała się, patrząc w stronę widocznego na tle nieba zarysu chaty Trevora. Wzdrygnęła się na myśl, że gdzieś za zasuniętymi zasłonami wyczekiwał szaleniec ze strzelbą.

Nie zazdrościła policjantowi odpowiedzialności, która na nim spoczywała. Facet musi podjąć decyzję, czy atakować - narażając się na rozlew krwi - czy czekać, ryzykując atak Trevora.

Podeszła Moira.

- Znalazłam Mandy. Jest u pani Vickers, żony Teda.

- Zajmę się nią - oznajmiła Sophie Reithowi.

- Dziękuję.

Prowadzona przez Moirę, przeszła przez zarośnięty ogród. Niebo na szczęście było bezchmurne i księżyc oświetlał im drogę.

Doszły do werandy, gdzie niepozorna, niespełna czterdziestoletnia kobieta kołysała w ramionach małą dziewczynkę. Obie były w koszulach nocnych, pokrytych plamami nie zaschniętej jeszcze krwi. Sophie podziwiała przytomność umysłu pani Vickers, która w chwili, gdy jej mąż walczył o życie, pomyślała o zapewnieniu bezpieczeństwa przerażonej dziewczynce.

- Sophie, to jest pani Vickers, żona Teda - rzekła Moira. Sophie skinęła na powitanie głową. Zauważyła strach bijący z całej postaci kobiety. - I Mandy.

Spojrzała na ramię dziewczynki. Koszula nocna była porwana, odsłaniając otwartą, jeszcze krwawiącą ranę, która nie wydawała się jednak zbyt głęboka. Za to Mary Vickers wyglądała tak, jakby za chwilę miała zemdleć.

Sophie delikatnie dotknęła jej twarzy i przykucnąwszy obok, spytała:

- Czy jest pani ranna?

- Nie, to wszystko krew Teda. - W głosie kobiety brzmiał strach. -

Staralam się mu pomóc przed przyjazdem doktora Kenricka.

- Tedowi nic nie będzie - zapewniła ją Sophie. - Doktorowi Kenrickowi udało się zatamować krwotok i właśnie kończy opatrywać ranę. Wkrótce przyleci helikopter z Melbourne. Ted prawdopodobnie będzie potrzebował operacji, ale mogę ci obiecać, że przeżyje.

Nie chciała w tym momencie wspominać o tym, że Ted może stracić nogę.

Mary Vickers długo patrzyła na Sophie. Z jej oczu powoli nikał strach.

- Naprawdę?

- Obiecuję. Kobieta rozplakała się.

Sophie odwróciła się w stronę Moiry.

- Mogłabyś zaprowadzić panią Vickers do męża? Mary szybko wstała, na jej twarzy pojawiła się nadzieja.

- Naprawdę mogę? Bardzo się o niego martwię. Chciałam z nim zostać, ale kiedy doktor Kenrick się nim zaopiekował, uznałam, że Mandy mnie bardziej potrzebuje. Tak się bałam, że coś się jej stanie, bo to przecież takie małe dziecko.

Sophie wzięła Mandy na rękę, dokładniej się jej przyglądając. Dziecko było bezwładne, zbyt zszokowane tym, co się stało, żeby w jakikolwiek sposób zareagować na badanie. Sophie zwróciła się do Mary:

- Czy mogę wziąć małą do środka?

- Oczywiście, już...

Przerwała w pół słowa. Z sąsiedniego ogrodu dobiegł krzyk przerażenia, zgasły światła i w ciemnościach, które zapadły, rozległ się odgłos wystrzału, a potem wypowiedziane przez megafon stanowcze słowa:

- Nie bądź głupcem, Trevor. Przestań!

Po chwili usłyszały głos Reitha, spokojny i opanowany.

- Trevor, nie chcemy cię skrzywdzić. Jesteśmy tutaj, bo zaniepokoiły nas strzały, które usłyszeliśmy. Chcemy ci pomóc. Znasz mnie przecież, to ja, Reith Kenrick. Jestem lekarzem, nie policjantem. Proszę, nie strzelaj. Pomyśl o swojej małej córeczce, o twojej Mandy. Ona cię potrzebuje, Trevor, cały czas dopytuje się o ciebie. Odłóż strzelbę i przyjdź do...

Słowa zostały ucięte przez huk wystrzału.

Zapadła cisza.

Reith...

Mary Vickers odezwała się pierwsza:

- Boże, Ted... - Pobiegnęła przez ciemny ogród.

Moira rozejrzała się wokół niespokojnie. Jeden walek się rozluźnił i pasmo włosów wpadało jej do oczu. Z przerażeniem wskazała na drżącą ze strachu Mandy.

Sophie poszukała jej pulsu. Szok się na pewno pogłębił i dziewczynka potrzebuje natychmiastowej pomocy.

- Moira, pobiegnij za Mary i wracaj jak najszybciej.

- A jeśli postrzelił doktora Kenricka...

- Wtedy krzycz najgłośniejszym głosem, jak potrafisz, ja na pewno usłyszę. Biegnij już!

Kiedy Trevor strzelił, to Reith trzymał megafon.

Nie ma powodu do niepokoju, przecież był poza zasięgiem strzału...

Więc dlaczego umilkł?

Reith...

Sophie zadrżała, czując, jak w jej sercu narasta panika. Mandy niespokojnie się poruszyła.

Mandy... Musi się nią zająć!

- Wszystko w porządku, malutka. - Starła się mówić spokojnym głosem, lecz nigdy jeszcze nie przychodziło jej to z takim trudem. - Twój tatuś strzela chyba do królików albo czegoś takiego. Teraz, Mandy, wejdziemy do środka, bo tu się robi troszkę chłodno, a ja spróbuję zabandażować ci ramię. Postaram się, żeby nie bolało, dobrze?

Reith...

Musi się teraz zajmować Mandy i tylko Mandy.

Dopóki Moira jej nie zawoła.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Złe wieści rozchodzą się szybko, powtarzała sobie w myślach Sophie, kiedy czekając na wiadomości o tym, co się wydarzyło w sąsiednim ogrodzie, uspokajała Mandy.

Wokół panowała cisza. Ale czy cisza to dobry znak? Jeśli coś się stało, Moira by ją zawołała albo po nią przybiegła. A może już wszyscy są martwi?

Musi przestać o tym myśleć i zająć się Mandy.

Oprócz rany na ramieniu Sophie znalazła tylko duży, ciemny siniak na plecach. Mandy nic nie mówiła; leżała bezwładna, nie dając oznak życia.

Sophie owinęła ją w ciepłe koce i podeszła do lodówki, szukając mleka. Z szafki nad zlewem wyjęła mały garnuszek, w którym je zagrzała. Miała nadzieję, że ożywczy napój złagodzi szok. Oczywiście pod warunkiem, że dziewczynka jest w stanie go wypić.

Uklękła przy Mandy i podała jej kubek. Ku jej zaskoczeniu dziewczynka wyciągnęła rączki i wypila mleko do dna.

- Jeszcze - wyszeptała, wyciągając w stronę Sophie puste naczynie.

- Czy jesteś głodna, dziecinko? - spytała Sophie, wlewając do garnka następną porcję mleka,

- Tata nie pozwolił mi pić i nie dał mi lunchu. Tak mocno mnie zbił, że się popłakałam. Tatuś... - Głos dziewczynki załamał się.

- Mandy, może twój tatuś nie czuje się dobrze - łagodnie tłumaczyła Sophie. - Czasami, kiedy ludzie są chorzy, robią rzeczy, których nie chcą. Jeśli twój tata bolała głowa, to on pewno nawet nie wiedział, że sprawia ci ból.

- Tatuś musi codziennie brać pigułki.

- A czy ostatnio o nich pamiętał? Dziewczynka spojrzała na Sophie z zastanowieniem.

- Chyba nie...

- Ja jestem lekarzem, Mandy, i myślę, że twojego tatusia bolała głowa dlatego, że nie brał pigulek. A kiedy kogoś tak mocno boli głowa, to często robi różne, bardzo złe rzeczy. Pewno kiedy cię uderzył, myślał, że jesteś jakimś królikiem, a nie jego ukochaną córeczką.

- Też tak myślę - szepnęła Mandy. - Nie strzelałby do mnie.

- Oczywiście, że nie.

Po wypiciu dwóch następnych kubków mleka dziewczynka wyraźnie się uspokoiła. Ciepłe koce, którymi była opatulona, zrobiły swoje. Po chwili zapadła w sen.

Upewniwszy się, że mała głęboko zasnęła, Sophie wyszła na werandę. Otaczająca ją noc trwała w bezruchu, niezmaconym nawet najłżejszym podmuchem wiatru.

Może Trevor wszystkich powystrzelał, pomyślała. Nie, to niemożliwe, przecież słyszała tylko dwa strzały.

To dlaczego nikt po nią nie przyszedł?

Chciała zostawić śpiące dziecko i sprawdzić, co się dzieje, ale wiedziała, że nie może tego zrobić.

Zerwał się lekki wiatr, dość jednak silny, aby stłumić odgłosy, które mogły dochodzić z sąsiedniego ogrodu. Sophie czuła, że straci zmysły, jeśli ktoś za chwilę po nią nie przyjdzie.

Zamiast tego usłyszała dochodzący z góry, szybko przybierający na sile, dźwięk nadlatującego helikoptera. Snop światła, prawdopodobnie reflektory wozu strażackiego, przeszył ciemne niebo i stopniowo przesuwając się w dół, wskazał miejsce do lądowania.

Sophie poczuła ogromną ulgę - przynajmniej jedna osoba jeszcze żyje.

Po chwili zobaczyła śmigłowiec - potężną maszynę z wojskowymi oznaczeniami. Pomyślała, że Reith ma już armię, której potrzebował.

Ale czy jest w stanie to zauważyć?

Strach powrócił ze zdwojoną siłą.

Helikopter zawisł w powietrzu; jego pilot wyraźnie przygotowywał się do lądowania. Wreszcie zaczął się powoli opuszczać, aż zniknął po przeciwnej stronie sąsiedniego domu.

Kiedy umilkły potężne silniki, znów zapadła cisza. Trwała nie więcej niż pięć minut, które jednak Sophie wydały się wiecznością. Wreszcie usłyszała, jak ogromne śmigła biją powietrze i chwilę później ponownie ujrzała ciężką sylwetkę wznoszącą się w powietrze i odlatującą w dal.

Następny moment ciszy.

Sophie czuła, że jest na krawędzi załamania nerwowego. Dlaczego nikt po nią nie przychodzi? Co się tam dzieje?

I wreszcie zobaczyła zbliżającą się, znajomą postać. To nie była Mary ani Moira, tylko Reith.

Oddechnęła z ulgą i ogromne napięcie ostatnich chwil uleciało. Czując, że nogi się pod nią uginają, chwyciła rękoma balustradę, aby utrzymać równowagę.

Reith żyje!

Zatrzymał się u stóp schodów i patrzył na nią. W jego oczach zobaczyła ten sam wyraz bólu i cierpienia, który wcześniej widziała w oczach Mary i Mandy.

- Co się stało? - wykrztusiła.

- Nie żyje. - Głos Reitha był zmęczony i pozbawiony uczuć, zupełnie jak głos chirurga, który po wielogodzinnej operacji stracił pacjenta. To był głos lekarza, dla którego życie stanowi najważniejsze dobro.

- Samobójstwo?

- Nie. - Potrząsnął przecząco głową; z jego postaci przebijało znużenie. - Wybiegł z domu, strzelając w naszą stronę. Policjant go zabił. Nie miał wyboru.

Mówił na pozór spokojnie, sucho relacjonując fakty. Zdradzały go tylko oczy.

Ponownie zapadła wypełniona bólem cisza.

Sophie, nie mogąc dłużej znieść ogromnego napięcia, zeszła powoli po stopniach werandy i objęła Reitha, przytulając głowę do jego piersi.

Przez dłuższą chwilę Reith stał napięty, ale w końcu przytulił ją z taką siłą, jakby nic innego nie miało dla niego znaczenia.

Minęło kilka minut, których żadne z nich nie chciało przerwać, bojąc się stracić uczucie tak cudownej bliskości.

Reith żył, a strach, który Sophie przed momentem odczuwała, nie będąc pewna jego losu, zdradził, jak wiele ten człowiek dla niej znaczy. Ich serca biją zgodnym rytmem...

Miłość.

O czym ona myślała? Jak mogła pokochać człowieka, którego znała mniej niż tydzień?

Nie chciała o niczym myśleć, liczyła się tylko ta chwila, to wspaniałe uczucie ciepła, rozplywające się po jej ciele.

- Sophie.

Usta Reitha znalazły się w jej włosach, jego ręce tuliły ją mocno w poszukiwaniu ukojenia.

Powtarzała sobie, że obejmuje go tylko po to, aby zapomnieć o strachu, o potwornych wydarzeniach dzisiejszej nocy, i że ta bliskość nic więcej nie oznacza.

Nic więcej.

W końcu Reith wyprostował się i spojrzał jej w oczy.

- Wciągnąłem cię do prawdziwego piekła.

- To ty przeszedłeś przez piekło - odparła. - Tak bardzo chciałam ci pomóc, a nie mogłam. Czułam się taka bezsilna, czekając na jakieś wiadomości...

- Pomogłaś mi uratować życie Teda. Gdyby nie ty...

Urwał, przeciągając w znużeniu ręką po twarzy, jakby strząsając straszne myśli. Sophie usiłowała zwalczyć w sobie chęć przytulenia go.

- Jak się czuje Mandy? - spytał już spokojnym głosem.

- Śpi. Na szczęście kula tylko ją drasnęła, a nie znalazłam innych, poważniejszych ran.

Reith potrząsnął głową.

- Trudno nazwać szczęściem stratę ojca. - Potarł dłonią czoło w geście skrajnego wyczerpania. - Powiniennem być wcześniej coś zrobić.

- Wiedziałaś o jego kłopotach?

- Trevor od lat znajdował się pod opieką psychiatry, ale zawsze odmawiał brania leków. Jego żona odeszła, kiedy Mandy była malutka. Trudno ją za to winić, ale powinna była wziąć małą ze sobą. Kilka razy kontaktowali się ze mną ludzie z opieki społecznej, którzy chcieli wziąć dziecko do sierocińca, ale w końcu sprawa jakoś przycichła. Prosili mnie także, żebym kontrolował Trevora i informował ich w razie jakichś kłopotów. Jego stan wydawał się stabilny i nie przemawiało za tym, żeby mu odebrać Mandy.

Twarz Reitha ponownie ściągnął wyraz bólu. Sophie doskonale go rozumiała. To był zły sen każdego lekarza: decyzja, kiedy należy odebrać dziecko prawowitym rodzicom.

- Wydaje mi się, że on nie chciał zranić Mandy - ciągnął Reith. - Jestem pewien, że ją kochał, bo wpadałem tutaj często, pod byle pretekstem.

- Mała ma na plecach siniaka, i to dużego - przypomniała sobie nagle Sophie.

- Ciekawe, co spowodowało to załamanie. - Reith chyba nie dosłyszał jej słów. - Nigdy przedtem nie uderzył Mandy; gotów był zrobić wszystko, żeby tylko jej nie stracić. Chyba coś mu się ostatecznie w głowie pomieszało i wołał, żeby mała zginęła niż ją zabrano.

- Biedne maleństwo. - Sophie ze współczuciem obserwowała smutek na twarzy Reitha. Widziała, że nieszczęście innych porusza w jego duszy jakieś głęboko ukryte struny. Była już pewna, że kłamał, kiedy mówił, że nie obchodzi go inni ludzie. - Co teraz zrobimy?

- Zamkniemy dom i weźmiemy Mandy.

- Gdzie? - Spojrzała na niego zdezorientowana,

- Do ciebie, do pensjonatu - odpowiedział takim tonem, jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie. - Nie opowiedziałem ci jeszcze, co się działo w czasie, kiedy byłaś z małą. Po pierwsze to nie był helikopter szpitalny, ale wojskowy. Okazało się, że jakaś jednostka odbywa manewry kilkadziesiąt kilometrów stąd i dlatego pomoc przyleciała tak szybko. Zabrali Teda z żoną do szpitala w Melbourne. Policja jeszcze przeszukuje dom Trevora, ale moja praca skończyła się po wydaniu świadectwa zgonu. Potem namówiłem Moirę, żeby zgodziła się wziąć na jakiś czas Mandy do siebie, zanim to wszystko się wyjaśni.

- Czy nie lepiej byłoby wysłać małą do Melbourne? Może ma tam jakichś krewnych?

- Z tego, co wiem, to nie. Opieka społeczna od trzech lat próbowała skontaktować się z jej matką, ale dotychczas bez rezultatu. - Reith westchnął i przeczesał ręką włosy. - Ale nie mam pojęcia, co stanie się z nią później.

- Zależy ci na jej szczęściu, prawda?

- Jest małym, pełnym życia dzieciakiem. Jeżeli nie uda się znaleźć jej matki, będzie musiała pójść do sierocińca, a potem, jeśli będzie miała szczęście, zostanie skierowana do adopcji. To bardzo mądra dziewczynka. Mimo swojego wieku zawsze opiekowała się ojcem, kiedy ten miał napady depresji. Zasługuje na normalne dzieciństwo. - Pokręcił zniechęcony głową. - Już późno, zamknijmy dom i jedźmy do pensjonatu. Moira już pewno zdążyła wszystko przygotować. Miała wziąć kilka zabawek i trochę ubrań Mandy.

Dobrze zorganizowane, pomyślała Sophie. Czy inicjatorem tego była Moira czy on? Miała przeczucie, że Reith. Zaczynała odkrywać w nim uczucia, których nie spotkała do tej pory u żadnego ze znanych sobie mężczyzn.

Moira czekała na nich na werandzie, nadal ubrana w purpurowy szlafrok, ale już bez wałków we włosach.

- Zanieś ją na górę - poleciła Reithowi, kiedy wynosił z samochodu śpiącą dziewczynkę, po czym spojrzała na Sophie. - Przygotowałam jej pokój naprzeciw twojego. Wzięłabym ją do siebie, ale śpię jak zabita i pewno nie obudzę się w razie potrzeby.

- Dobrze - odparła Sophie. - Chętnie się nią zaopiekuję.

- Nie przyjmę od ciebie pieniędzy za nocę, podczas których będziesz musiała wstawać do dziecka - obiecała Moira.

Sophie uśmiechnęła się.

- Doktor Kenrick uprzedził mnie, że wystawi duży rachunek za swoje usługi. Już widzę, że wcale nie przesadził.

Ku jej zaskoczeniu Reith, idący przed nimi z Mandy na rękach, odwrócił się do niej z uśmiechem. Poczła znajome ciepło rozlewające się po ciele.

Reith: to imię budziło w jej sercu jakieś uśpione uczucia, poruszało struny nigdy nie przeżywanych doznań, których nie umiała kontrolować i których siły zaczynała się obawiać.

Umknęła przed jego spojrzeniem, ale Reith na pewno zauważył strach, który pojawił się w jej oczach. Zwolnił kroku, a kiedy się z nim zrównała, spytał:

- Co się stało, Sophie?

- Nic - odpowiedziała z trudem. - Po prostu jestem trochę zmęczona.

Kłamała. Wiedziała, że może pracować prawie bez przerwy jeszcze dłużej niż dziś. Nie może sobie za to poradzić z uczuciami, których do tej pory nie znała i nie była pewna, czy chce je poznać.

Ułożyli Mandy w łóżku, zostawiając otwarte drzwi do jej pokoju.

- Nie wiem, jak wy, młodzi, ale ja jestem wyczerpana - oznajmiła Moira. - Idę do łóżka. Dobranoc.

Sophie i Reith stali patrząc, jak Moira znika za drzwiami.

- Dzielna kobieta - powiedział Reith cicho,

Sophie przytaknęła. Stojąc tuż koło niego w półmroku sypialni, czuła pewien rodzaj intymnej bliskości. Spojrzała na leżącą w łóżku Mandy.

- Reith, jeżeli myślisz, że Moira może na dłużej zaopiekować się dzieckiem...

- Nie - przerwał jej w pół zdania. - To naprawdę dzielna kobieta, ale zajmowanie się czteroletnią dziewczynką może być dla niej ponad siły. Myślę raczej o Tedzie i Mary Vickersach.

- Dlaczego?

- Jest co najmniej dziesięć powodów.

- Podzielisz się nimi ze mną?

- Wydaje mi się, że nie przywykłem do zdradzania tajemnic zawodowych. Dotknął lekko jej policzka i Sophie zadrżała.

- Powiedz, proszę.

- To naprawdę proste. Mary i Ted od wielu lat chcą mieć dzieci. Tworzą szczęśliwą rodzinę, może nie za bogatą, ale pieniędzy im starczy, a co najważniejsze - kochają dzieci. Niestety, są już w zbyt poważnym wieku, żeby im zezwolono na adopcję. Nie wiem, jak te kwestie rozwiązane są w Anglii, ale w Australii prawo jest bardzo restrykcyjne: musisz napisać setki podań, przejść dziesiątki testów i prędzej dobijesz do pięćdziesiątki, niż pozwolą ci się zaopiekować jakimś dzieckiem.

- Myślisz, że chcieliby ją przygarnąć? Reith wzruszył ramionami.

- Mandy to bardzo mądra dziewczynka. Może jest trochę nieśmiała i zaniedbana, ale miłość czyni cuda. Poza tym mała pół dzieciństwa spędziła u Vickersów, a Mary, odkąd pamiętam, zastępowała jej matkę. Nie pamiętam już, ile razy przychodziła do mnie, denerwując się zdrowiem małej, prosząc o jakąś radę. Właśnie obecność Mary była jednym z głównych powodów, dla których zgadzałem się na pozostawienie Mandy Trevorowi. - Przerwał na chwilę. - Teraz głównym problemem będzie przekonanie ludzi z opieki społecznej, że najlepszym rozwiązaniem jest przekazanie Mandy pod opiekę Vickersów. Ted i

Mary nie są jej krewnymi, więc na gruncie prawnym nie ma powodu, dla którego mieliby być traktowani w jakiś specjalny sposób. My musimy wykazać, że między nimi a dziewczynką nawiązała się trwała więź emocjonalna.

- Myślałeś już o tym, zanim helikopter wziął Teda i Mary do Melbourne i dlatego zdecydowałeś, żeby nie posyłać małej?

- Tak. Zauważyłaś, że nawet gdy Ted był bliski śmierci, Mary zajęła się małą?

- Jesteś dobrym lekarzem, Reith - powiedziała Sophie cicho.

- Towarzystwo wzajemnej adoracji - odpowiedział z uśmiechem, biorąc ją za rękę. - Bardzo mi dziś pomogłaś. Dziękuję.

Otaczała ich balsamiczna ciemność, w której rozplynęły się okropności ostatniej nocy. Obok nich spała Mandy, nieświadoma pustki, której będzie musiała następnego ranka stawić czoło.

Sophie pomyślała, że dzięki Reithowi ta pustka będzie choć częściowo wypełniona. Dzięki mężczyźnie, któremu zależy na ludziach, chociaż za żadne skarby nie chce się do tego przyznać.

Uniosła się na palcach i złożyła delikatny pocałunek na jego ustach.

- Jesteś cudowny - wyszeptała.

Zapadła długa cisza, jakby wraz z Sophie cały świat wstrzymał oddech w oczekiwaniu na jego reakcję. Pragnęła, aby odwzajemnił jej pocałunek, żeby...

Przyciągnął ją do siebie i zaczął całować w sposób, w jaki zawsze pragnęła być całowana. Uczucia, które ją ogarnęły, były nie do opisania. Więzy, która utworzyła się między nimi, z każdą chwilą stawała się coraz silniejsza. Sophie zastanawiała się, czy on też to czuje i czy jego serce w tej chwili bije tylko dla niej? Objęła go mocniej, czując twarde mięśnie jego pleców i wdychając zapach jego ciała. Ogarnęło ją pożądanie i zapragnęła mieć go bliżej, bliżej niż jakiegokolwiek innego mężczyznę.

- Sophie - wyszeptał, przytulając ją coraz mocniej i przesuwając dłońmi po jej ciele.

Szybkimi ruchami odpiął guziki jej bluzki i dotknął piersi. Czy zachowuje się jak ladacznica, kochając się z mężczyzną który wzbudza w niej pożądanie? Jeśli nawet, to nie dbała o to. Wiedziała tylko, że pragnie Reitha tak bardzo, jak nikogo dotąd. Nagle odsunął ją od siebie i uśmiechnął się zagadkowo. W jego zazwyczaj kpiących oczach pojawiło się wzruszające ciepło.

- Mogę cię zanieść do łóżka? - spytał cicho, głaszcząc delikatnie jej długie, kręcone włosy. - Czy pozwolisz mi się kochać?

Kochać? Co on proponuje?

- Zaczynam myśleć, Reith - głos Sophie rozbrzmiewał nieskrywanym pożądaniem - że pragnę cię tak bardzo jak ty mnie.

- A co z Kevinem? Kevin...

Sophie zwilżyła językiem nagle wyschnięte usta, czując, jak ogarnia ją fala wątpliwości. Czy on próbuje powiedzieć, że jest niewierna, ale jemu to nie przeszkadza? Że będzie się z nią kochać dziś w nocy, a w piątek odda ją z powrotem Kevinowi?

- Wydaje mi się - powiedziała łamiącym się głosem - że będę musiała powiedzieć Kevinowi, że się pomyliłam.

Zapadła długa cisza. Twarz Reitha spoważniała, oczy straciły wszelki wyraz.

- Sophie, ja ci nie proponuję małżeństwa - powiedział powoli. - Pragnę cię, ale nie mogę ci zapewnić spokojnego życia. Ani teraz, ani nigdy. Nie chcę, żebyś z mojego powodu zrywała zaręczyny.

- A czego oczekujesz? - Sophie poczuła się, jakby ktoś wylał na jej głowę wiadro lodowatej wody. - Że będę się dziś z tobą kochać, a za kilka dni, jakby nigdy nic, wyjdę za Kevina?

- Nie interesuje mnie małżeństwo.

Nigdy nie słyszała okrutniejszych słów. Czowała, jak jej serce ściska rozpacz.

- Czy naprawdę myślałeś, że będę się z tobą kochać, a potem poślubię Kevina? - powtórzyła bliska płaczu.

- Między tobą a twoim narzeczonym nic się nie zmieniło. To, że się przed chwilą pragnęliśmy, nic nie znaczy. Jutro o tym zapomnisz.

- Wierzysz w to, co mówisz?

- Taka jest prawda, sama się przekonasz.

Zamknęła oczy i cofnęła się o krok, uwalniając się od jego dotyku. Tego człowieka cały czas prześladowuje i pewno nigdy nie opuści przeszłość. Jak mogła marzyć o tym, że uda jej się przywrócić go światu?

- Myślę, że lepiej będzie, jak już pójdziesz.

- Bo nie obiecałem ci małżeństwa? Sophie potrząsnęła głową.

- Tu nie chodzi o małżeństwo, Reith. Możesz mi wierzyć lub nie, ale chcę ciebie. Masz rację myśląc, że jutro o tym zapomnę, tak jak zapomina się o złych snach. Dziękuję, że mi przypomniałeś o tym, że jestem zaręczona. A czy teraz możesz wyjść? Natychmiast.

- Naprawdę tego chcesz?

- Tak.

- Może to jest najlepsze rozwiązanie, kto wie - powiedział, lecz jego oczy wyrażały żal. Potrząsnął głową, jakby czegoś do końca nie rozumiał. - Nie chciałem cię zranić.

- Idź już.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

To była okropna noc. Dopiero przed świtem Sophie udało się zapaść w niespokojną drzemkę. Kiedy rano się obudziła, miała wrażenie, że w ogóle nie spała.

Widząc przez otwarte drzwi, jak Mandy niespokojnie przewraca się z boku na bok, wstała i poszła ją przytulić. W oczach dziewczynki malował się niepokój.

- Chcę do tatusia - powiedziała drżącym głosem. - Albo do Mary i Teda...

Sophie potrzebowała dużo czasu, żeby wyjaśnić wydarzenia ostatniej nocy i ją uspokoić. Rozmawiając z Mandy, nabrała pewności, że Mary i Ted Vickersowie znaczą dla niej znacznie więcej niż inni sąsiedzi.

- Chyba się uda - wyszeptała do siebie, kładąc się obok dziewczynki. - Mary i Ted pragną dziecka, a Mandy kogoś bliskiego. Będzie im dobrze razem.

A jej przyszłość? Kevin jest już zapewne w samolocie i niecierpliwie oczekuje spotkania ze swoją wierną narzeczoną.

- Ale nie jestem jeszcze jego żoną - szepnęła do siebie.

Przez jej głowę przemknął inny obraz - ten, który widziała w pokoju Reitha. „Niewolnica buszu”.

Pomyślała, że byłaby tu na pewno szczęśliwsza niż jego matka. Gdyby tylko...

Gdyby tylko Reith dał jej szansę.

Marna to szansa, nie większa niż jedna na milion, pomyślała zrezygnowana.

Do pokoju weszła Moira, niosąc tacę ze śniadaniem.

- Wreszcie wstałyście, śpiochy. Jeszcze godzina i zamiast śniadania przyniosłabym wam lunch.

Zasiadła w fotelu i przyglądała się, jak znika jedzenie, które przygotowała: sadzone jajka na bekonie, grzanki posmarowane lejącym się

miodem, sok ze świeżych pomarańczy, gorąca czekolada i aromatyczna kawa dla Sophie.

- Pasujecie do siebie - zauważyła Moira, wskazując na zabandażowane ręce Sophie i Mandy.

- Wróciłyśmy z wojny - zgodziła się Sophie.

- A tobie co się stało? - nieśmiało spytała Mandy.

- Próbowałam podnieść koalę.

Dziewczynka pokręciła z dezaprobatą głową i wymownie na nią spojrzała, tak jak patrzy się na niemądre dziecko.

Sophie z Moirą roześmiały się. Odniosły wrażenie, że Mandy czuje się coraz lepiej.

- Dzwoniła Mary Vickers - powiedziała po chwili Moira.

- Moja Mary? - spytała z ciekawością Mandy.

- Twoja Mary - zgodziła się Moira. - Dzwoniła, żeby powiedzieć, że Ted był wczoraj operowany i że jego nodze już nic nie zagraża. Pytała także o ciebie, malutka. Prosiła, żebym do jej powrotu zaopiekowała się tobą, a kiedy wróci, zabierze cię do domu.

- Dobrze. - Mandy usiadła na krawędzi łóżka, machając nóżkami. - Teraz się ubiorę, pani Sanderson. Mogę później pobawić się z pani kotem?

Kiedy dziewczynka wyszła, Moira zwróciła się do Sophie:

- Wiesz, myślałam, że mała zniesie to znacznie gorzej.

- Chyba nie zdaje sobie jeszcze sprawy z powagi wydarzeń - odparła Sophie. - Spytała mnie co prawda, czy jej tata żyje, ale chyba nie przyjęła do wiadomości odpowiedzi. Małe dzieci często się tak zachowują: wypychają ze swojej pamięci rzeczy, z którymi nie mogą sobie poradzić. Mary z Tedem będą mieli trudne zadanie, żeby jej uświadomić to, co się naprawdę stało. -

Zmarszczyła czoło. - Myślę, że przez jakiś czas będzie przeżywała ciężkie chwile i Mary z Tedem będą ją musieli powoli oswajać z tym wszystkim, co zaszło. Gdyby poczuła się samotna lub zagrożona...

- Zostanie u mnie - obiecała Moira. - Tylko - zachmurzyła się - boję się, jak po twoim wyjeździe zniesie samotne noce.

- Może zostanę do powrotu Mary? - zaproponowała Sophie.

- Czy Kevin nie będzie miał nic przeciwko temu? Kevin...

Zaczynała o nim myśleć nie jak o człowieku mającym zapewnić jej bezpieczeństwo, ale jak o przeszkodzie. Co powinna zrobić?

- Umówiliśmy się, że zostaniemy tu tydzień. - Jej głos był pełen wątpliwości. - To, że się spóźnia, nie zmienia naszych planów i spędzimy tu siedem dni, licząc od daty jego przyjazdu.

Problem stanowił fakt, że nie cieszyła się z możliwości spotkania Kevina. Wolą spotkać Reitha...

- Co zaplanowałaś na dziś dla Mandy? - spytała, przestając myśleć o obu mężczyznach.

- Pomoże mi robić przetwory z moreli.

Sophie była zadowolona. Właściwie dobry byłby każdy sposób, odciągający uwagę Mandy od wydarzeń ostatniej nocy.

Rozległ się głośny dźwięk telefonu. Moira podniosła się i zeszła do holu, aby go odebrać.

- Sophie, do ciebie! - zawołała. - Doktor Kenrick.

Mimo że Sophie starała się mówić spokojnie, jej głos drżał. Reith zdawał się nie mieć takich problemów. Zachowywał się tak, jakby wczoraj nic między nimi nie zaszło.

- Jak tam Mandy? - spytał opanowanym głosem.

- Dobrze. Mary Vickers dzwoniła do Moiry z Melbourne...

- Do mnie też - przerwał. - Chcę ci przypomnieć o lunchu.

- Jakim lunchu?

- Z panią Lee. Pamiętasz, że wczoraj cię zaprosiła? Myślę, że powinnaś pójść.

- Widzę, że zamierzasz bezlitośnie wykorzystać moją obecność - zauważyła ze złością. Jak on mógł ją całować, a potem rozmawiać z nią tak, jak gdyby nic się nie zdarzyło? - Szkoda, że nie poszłam z tobą do łóżka.

Ugryzła się w język. Nie powinna mówić takich rzeczy ani nawet o nich myśleć!

- Więc zadzwonię do niej i powiem, że nie przyjdiesz. - Głos Reitha był chłodny i opanowany, jakby nie dosłyszał jej słów.

- Pójdę. Skoro obiecałam, to pójdę.

- Jeśli czujesz się do tego zmuszana, nie ma potrzeby...

- To nie ma nic wspólnego z twoimi potrzebami, Reith - przerwała. - Przyjęłam zaproszenie i pójdę. Poza tym chciałabym usłyszeć kilka słów prawdy o tobie.

Drżącą ręką odłożyła słuchawkę. Lunch! To była ostatnia rzecz, na którą miała ochotę, zwłaszcza z osobą, której prawie nie знаła. Niepotrzebnie w to się wplątywała.

- Muszę przed wyjściem zadzwonić do Kevina - oznajmiła Moirze.

- A czy on nie jest już w samolocie?

- Mam nadzieję, że nie. - Udając, że nie dostrzega uniesionych brwi Moiry, przeszła ponownie przez hol i wykręciła numer. Dziesiąta rano tutaj to pierwsza w nocy w Belgii. Jeśli Kevin nie jest w samolocie, to na pewno go obudzi. Ta myśl niespodziewanie sprawiła jej dużo satysfakcji.

Nie obudziła go.

- Pan Carson wyjechał jakiś czas temu - powiedział recepcjonista. - Prawdopodobnie leci do Australii.

Pani Lee była zachwycona, kiedy zobaczyła Sophie. Po pierwsze była jej rodaczką, po drugie nie przepadała za doktorem Kenrickiem, a co najważniejsze, uczestniczyła w zjściach wczorajszej nocy.

Świadoma roli, jaką jej wyznaczył Reith, Sophie zręcznie prowadziła rozmowę we właściwym kierunku. Była na niego co prawda zła, ale czuła, że pani Lee jest chora i chciała jej pomóc.

- Pani nałożyła sobie połowę tego co mnie - zauważyła, porównując ogromny kawał pieczonej wołowiny na swoim talerzu z istic mikroskopijną porcją stojącą przed panią Lee.

- Nigdy nie jem dużo. Sophie uniosła brwi.

- Jest pani na diecie? Margaret Lee parsknęła śmiechem.

- Bez żadnej diety straciłam piętnaście kilo. Może szarlotki, kochanie? Sophie uśmiechnęła się i potrząsnęła przecząco głową.

- Dlaczego pani tak chudnie? - spytała z udaną ciekawością.

- Bóg jeden wie. - Pani Lee wzruszyła ramionami.

- A może pani jest chora? Była pani u lekarza?

- Pozwolić komuś grzebać w moim brzuchu? - W głosie kobiety zabrzmiał strach. - Nie ma mowy. Jeśli umrę, to w spokoju, bez żadnej chemoterapii czy radioterapii.

Zapadła długa cisza. Margaret Lee patrzyła na Sophie oczami, w których czaił się strach. Kto wie, czy po raz pierwszy w życiu nie wypowiedziała dręczących ją myśli.

- Myśli pani, że to nowotwór? - cicho spytała Sophie. Margaret Lee zalała się łzami.

- Och, nie powinnam była tego mówić, nikomu. Od dawna ukrywam moją chorobę i postaram się trzymać ją w tajemnicy tak długo, jak to tylko możliwe. Chcę umrzeć z godnością. Możesz tę wiadomość zachować dla siebie, kochanie?

Sophie zamilkła, szukając właściwych słów. Widziała już ludzi, którzy bardziej bali się śmierci w szpitalu niż samej choroby.

- Dlaczego pani myśli, że to nowotwór? - spytała. - Jeśli nie była pani na badaniach...

- Nie chudnie się tak bez przyczyny. - Margaret potrząsnęła głową. - Staram się dużo jeść, a mimo to ważę coraz mniej. Cały czas jestem zmęczona, potwornie zmęczona. Kiedy tylko gdzieś wyjdę, to po powrocie jak nieżywa padam do łóżka. Dziś rano wstałam dopiero o jedenastej i już ledwo trzymam się na nogach.

- Zmęczenie może być spowodowane utratą wagi - zauważyła Sophie.

- Nie. - Margaret wypila wodę i sięgnęła po dzbanek, aby ponownie napełnić pustą już szklankę. - Czułam się zmęczona już wcześniej. Przyczyna leży gdzie indziej. Ta choroba zjada mnie od środka.

- Co pani podejrzewa? Czy coś panią boli?

- Wątroba.

- Wydaje się pani bardzo pewna swojej diagnozy. Margaret Lee wzruszyła ramionami.

- Ale to ma sens. Nic mnie nie boli, a mimo to czuję się chora. Mam wrażenie, że coś rośnie w brzuchu i rozsadza mnie od środka. Co chwila muszę chodzić do toalety i bardzo dużo piję. - Jakby na potwierdzenie swych słów, ponownie sięgnęła po szklankę. - Ale lunch nie jest odpowiednią porą na takie rozmowy.

- Ja już skończyłam jedzenie - uśmiechnęła się Sophie i spojrzała w zamyśleniu na dwulitrowy dzbanek z wodą. Na początku posiłku był pełny, teraz zaś - prawie pusty.

- Na pewno nie czuje pani żadnego bólu? - spytała po chwili milczenia.

- Nie, rak wątroby nie boli. On po prostu zjada człowieka od środka i nic na to nie można poradzić. Przeczytałam na ten temat wszystko i zdecydowałam, że się nie poddam chemoterapii. Nie chcę umrzeć łysa.

- Ja też nie - zgodziła się Sophie - chociaż w dzisiejszych czasach robią świetne peruki. Zawsze chciałam mieć włosy w kolorze marchewki. - Zawahała się, ponieważ nie bardzo wiedziała, jaką obrać taktykę. Postanowiła dowiedzieć się czegoś więcej. - Czy choroba postępuje szybko? - spytała. - Dużo pani śpi?

- Coraz więcej. - Margaret podniosła się i zaczęła sprzątać ze stołu. - Nie wiem, jak długo dam sobie radę - powiedziała smutno. - Już teraz jest mi ciężko.

- Dlaczego? - Sophie wstała i zaczęła pomagać.

- Cóż... - Pani Lee wyraźnie czuła potrzebę podzielenia się z kimś swoimi zmartwieniami. - Na przykład wczoraj pojechałam na lunch do Jenny, gdzie się zresztą spotkaliśmy, a potem wróciłam do domu. Wprowadziłam samochód do garażu i nagle zaczęło mi się kręcić w głowie. Następną rzeczą, którą pamiętam, jest to, że obudziłam się cztery godziny później. - Westchnęła ciężko. - Nie wiem, co się ze mną działo, ale chyba już nie odważę się wsiąść do samochodu.

Sophie odłożyła talerze do zlewu i odwróciła się do Margaret.

- Dlatego boi się pani Reitha Kenricka? - spytała cicho. - Myśli pani, że zauważy pani chorobę i będzie nalegał na chemoterapię?

- Poniekąd... - niechętnie przyznała Margaret. - On jest dobrym lekarzem i zawsze chce jak najlepiej, ale...

- Ale co?

- Lekarze uważają, że pozjadali wszystkie rozumy, że każdego umieją wyleczyć, ale kiedy człowiek jest naprawdę ciężko chory, tak jak ja, rozkładają bezradnie ręce. Złość mnie ogarnia na sam widok białego kitla. Wiem, że jestem niesprawiedliwa, ale... Dlaczego nie potrafia mnie wyleczyć?

Oparła się o zlew i wybuchnęła płaczem.

Sophie stała i czekała, aż Margaret się uspokoi. Za chwilę szloch umilkł i pani Lee odwróciła do niej twarz jeszcze mokrą od łez, ale już uśmiechniętą.

- Przepraszam - powiedziała. - Pewnie zepsułam ci lunch.

- Lunch był cudowny. - Sophie wzięła ją za rękę i posadziła na najbliższym krześle. - Cieszę się, że mi to wszystko powiedziałaś, a teraz kolej na mnie. Oszukałam cię.

- Co?

- Jestem lekarzem, Margaret. Miałaś rację, mówiąc, że Reith Kenrick to wspaniały fachowiec. Nigdy nie spotkałam nikogo, kto by się tak troszczył o

swoich pacjentów. Zauważył, w jakim jesteś stanie i poprosił mnie, żebym z tobą porozmawiała. Chce ci pomóc.

Margaret patrzyła na Sophie ze strachem.

- Więc mu powiesz?

- Nie. Zaprosiłaś mnie tutaj z przyjaźni i zaufałaś mi. Jeżeli nie chcesz, nie wspomnę mu o tym ani słowem, ale za to tobie powiem, co myślę.

Oczywiście, nie mając wyników badań, nie mogę być stuprocentowo pewna swojej diagnozy, ale jestem gotowa się założyć, że masz nie raka wątroby, ale cukrzycę. Wszystkie symptomy, które mi opisałaś, są klasyczne: często chodzisz do toalety, dużo pijesz, tracisz przytomność i gwałtownie chudniesz. Jedynym argumentem, który przemawiałby za rakiem wątroby, jest spadek wagi, ale on jest zwykle połączony z żółtaczką. - Sophie spojrzała na nią z uśmiechem. - Uważnie cię obserwowałam i nie widzę, żebyś była bardziej żółta niż na przykład ja.

- Jesteś lekarzem...

Słowa te zabrzmiały jak oskarżenie. Czy do Margaret dotarło cokolwiek z tego, co Sophie mówiła?

- Tak.

Cisza, która zapadła po tych słowach, zdawała się trwać bez końca. Jedynym odgłosem, który ją przerywał, było tykanie dużego, ściennego zegara.

- Uważasz, że to cukrzyca? Sophie odetchnęła z ulgą.

- Tak.

- Ale nie jesteś pewna?

- Nie. Ale ty też nie możesz twierdzić, że masz raka wątroby, a dolegliwości, na które się skarżasz, przemawiają zdecydowanie za cukrzycą. Chorobę w takim stadium łatwo jest wyleczyć, zwykle wystarcza sama dieta. Jeśli poddasz się kuracji, twoje dolegliwości powinny zniknąć i zapewne w doskonałym zdrowiu dożyjesz stu lat.

- Cukrzyca... - Diagnoza zdawała się dopiero teraz docierać do świadomości Margaret. - To znaczy, że nie będę mogła jeść czekolady?

Sophie roześmiała się.

- Na pewno będziesz musiała się nieco ograniczać. Ale gdybyś miała raka wątroby, długo byś jej też nie pojadła. Na twoim miejscu wybrałabym cukrzycę.

Margaret pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Boże, jaka ja jestem głupia.

- Nic podobnego, po prostu się bałaś.

- Masz chyba rację. Muszę mieć pewność, że nie mam raka.

- Oczywiście - przytaknęła Sophie. - Im szybciej, tym lepiej. Powinnaś zbadać poziom cukru we krwi, żeby nie powtórzyła się sytuacja z zasłabnięciem.

- Tak. Wydaje mi się, że powinnam umówić się z doktorem Kenrickiem.

- Zabiorę cię do jego gabinetu dziś po południu - zaproponowała Sophie. Nie chciała nalegać, ale wiedziała, że omdlenia mogą szybko doprowadzić do śpiączki. - Umyjemy naczynia i podwiozę cię, dobrze?

- Ale doktor Kenrick może być zajęty.

- Wtedy ja ci zrobię to badanie. Myślę jednak, że Reith znajdzie dla nas chwilkę czasu.

Znajdzie dla nas...

Sophie pomyślała, że powinna była raczej powiedzieć, że znajdzie chwilę dla „ciebie”. Ona mogła oczekiwać jedynie uprzejmego podziękowania.

Kiedy weszły, Reith właśnie zaczynał dyżur. Przywitał je przyjaźnie, wyraźnie ucieszony widokiem Margaret. Wysłuchał diagnozy Sophie i szybko zabrał się do badania. Pobrał krew z palca pani Lee i wstawił do glukometru. Po chwili ukazał się wynik - poziom cukru trzykrotnie przekraczał normę. Margaret rozplakała się.

- Jaka ja byłam głupia! - powtarzała.

- Nic podobnego - zaprotestował Reith. - Nie ma nic bardziej niepokojącego niż kłopoty ze zdrowiem.

- Czy... możemy się umówić na wizytę? - spytała zawstydzona Margaret.

- Nie. - Reith potrząsnął głową i spojrzał na Sophie. - Jestem pewien, że doktor Lynton zgodzi się ze mną. Z tak wysokim poziomem cukru w każdej chwili możesz stracić przytomność, a nawet zapaść w śpiączkę, a to oznacza, że nie powinnaś być sama. Chciałbym, żebyś poszła na jakiś czas do szpitala. Jeśli się zgodzisz, zadzwonię po karetkę, która cię zawiezie do Lamberton. Kiedy wyniki się poprawią, wrócisz do domu.

- Mam jechać już teraz?

- Posłuchaj, Margaret - powiedział miękko Reith. - Czy jesteś pewna, że nic ci się w domu nie stanie?

- No, trochę się boję.

- Więc?

- Ale nie chcę jechać karetką - poprosiła Margaret.

- Mogę cię zawieźć - wtrąciła Sophie.

Cały czas starała się unikać spojrzenia Reitha. Kiedy ich wzrok się spotykał, czuła się jak dziesięcioletnia dziewczynka.

- Świetnie - zgodził się. - Gdybyś pojechała z panią Lee, pomogłabyś mi rozwiązać pewien problem.

- Problem? - Sophie uparcie oglądała swoje buty.

- Wczoraj wieczorem dzwoniłem do Lamberton z prośbą o pomoc. Lekarz dyżurny zajmował się jakimś wypadkiem drogowym, więc przysłali karetkę z samym sanitariuszem. Z kolei w wojskowym helikopterze był tylko lekarz, więc poleciał z nim sanitariusz z Lamberton, a karetkę zostawił tutaj.

- Aha. Chcesz, żebym odprowadziła ją do Lamberton?

- To by oszczędziło dużo czasu. W szpitalu zawsze mają kłopoty z personelem.

- A w jaki sposób mam wrócić?

- W szpitalu w Lamberton jest staruszka, którą chcę odwiedzić. Umiera, a jej córka przekazała mi wiadomość, że przed śmiercią prosi o spotkanie ze mną. Po dyżurze zamierzam tam pojechać i wracając bym cię zabrał. Byłbym ci jednak wdzięczny, gdybyś pojechała z Margaret. Sama wiesz, że przy takim poziomie cukru w każdej chwili może jej się coś przytrafić.

- Sprytnie to sobie wymyśliłeś - zauważyła Sophie z sarkazmem.

Spojrzała na Reitha, chcąc go spiorunować wzrokiem, i z gniewem zauważyła, że przygląda jej się z rozbawieniem.

- Ale ja nie pojedę karetką - oznajmiła Margaret.

- Nawet na przednim siedzeniu z doktor Lynton? - dopytywał się Reith. - Jej bardzo potrzebny jest pilot, co na własnej skórze odczuł pewien niewinny koala.

Sophie zacisnęła zęby w bezsilnej złości.

- No nie wiem... - wahała się Margaret.

- To jest rozsądne wyjście - wtrąciła Sophie, usiłując nie zwracać uwagi na ironiczne spojrzenie Reitha.

Wiedziała, że jest jeszcze jeden powód, dla którego Margaret powinna być odwieziona karetką. W razie kłopotów można by jej od razu, korzystając z wyposażenia samochodu, udzielić niezbędnej pomocy.

- Zawiadam szpital w Lamberton, że wyjeżdżamy - zwróciła się do Reitha. - Po drodze wstąpimy do pani Lee i spakujemy jej rzeczy.

- Już dzwonię, Sophie. - Dotknął lekko dłonią jej policzka.

- Jestem ci naprawdę bardzo wdzięczny.

Podróż do Lamberton przebiegła spokojnie. Margaret, zmęczona przeżyciami dzisiejszego dnia, drzemała i Sophie mogła spokojnie oddać się rozmyślaniom.

Nie były one spokojne. Jej umysł przypominał kalejdoskop, w którym mieszały się obrazy Reitha i Kevina w sposób uniemożliwiający podjęcie jakiegokolwiek decyzji.

Jak może poślubić Kevina, skoro odkryła w sobie uczucie do innego mężczyzny? Jak może, skoro jej wszystkie myśli krążą wokół Reitha? Nawet kiedy starała się myśleć tylko o Kevinie, zauważała, że oczy Reitha nabierają znajomego, kpiącego wyrazu...

Kiedy dowiozła Margaret do szpitala i upewniła się, że zostawia ją w dobrych rękach, wybrała się na przechadzkę po Lamberton.

Było to prowincjonalne, senne miasteczko, w którym wszystko zdawało się o dwadzieścia lub trzydzieści lat przestarzałe. O tym, jak wygląda lokalne życie, dużo mówił fakt, że głównymi artykułami w centrum handlowym były dzwonki dla owiec i obroże dla psów, sąsiadujące z traktorami i kombajnami zbożowymi. To miejsce wydawało się o całe lata świetlne odległe od Londynu i zgiełku nowoczesnego świata.

Na straganie prowadzonym przez miejscowe koło gospodyń Sophie kupiła kawałek ciasta oraz słoiczek dżemu domowej roboty, po czym wolnym krokiem powędrowała nad rzekę.

Jak w ogóle mogła myśleć o powrocie do Anglii, do pracy w centrum Londynu? Jej serce pokochało to miejsce i miała wrażenie, że niezależnie od tego, gdzie będzie ciałem, ono pozostanie tu na zawsze.

Reith miał przyjechać do szpitala około siódmej. Każda myśl o nim wywoływała przyspieszone bicie serca.

Przecież inni lekarze też się troszczą o swoich pacjentów; jest tylu wspaniałych fachowców i dobrych ludzi...

Nie, tak nie można. Wiedziała doskonale, że Reith jest inny, zresztą dlatego niepostrzeżenie znalazł drogę do jej serca i wszystko wskazywało na to, że szybko go nie opuści.

Co robić? Wyznać mu miłość? Rzucić mu się w ramiona?

Nie, przecież powiedział jej, że nikogo nie potrzebuje, a ona nie jest w stanie tego zmienić.

Usiadła na porośniętym trawą brzegu rzeki, bezmyślnie rzucając kamienie na spokojną powierzchnię wody, po której zaczęły rozchodzić się kręgi drobnych fal. Wystarczył jeden maleńki kamyk, aby zmać gładkie lustro wody. Wystarczył jeden mężczyzna, by...

Różnica polega na tym, że rzeka przyjęła kamień, a ją Reith odrzucił. Widocznie nie tu jest jej miejsce. Powinna wrócić do Londynu i spokojnie dożyć starości u boku Kevina.

Nie!

Wstała. Przynajmniej uświadomiła sobie jedną rzecz. Nie potrzebuje ani Kevina, ani takiego bezpieczeństwa, jakie on ma jej zapewnić.

Ale on jest już w drodze.

- Trudno - szepnęła. - Najwyżej wróci do domu.

Dom. Dlaczego to słowo brzmi tak obco, nie wywołując żadnego ciepłego uczucia? I dlaczego ona wzdraga się przed tętniącym życiem Londynem?

Czy może z tego powodu, że pokochała to pachnące eukaliptusami, zakurzone pustkowie?

- Weź się w garść, Sophie - powiedziała do siebie ostro. - Zaraz wracasz z Reithem do Inyabarry. Masz się zachowywać spokojnie i uprzejmie. A potem, najszybciej jak będziesz mogła, wyjedziesz stąd, zanim on zniszczy do reszty twoje życie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Sophie dotarła do szpitala o siódmej trzydzięci. Reith czekał na nią w recepcji, przeglądając medyczne czasopisma. Na jej widok wstał.

- Długo czekasz? - spytała. Potrząsnął głową. Był bardzo zmęczony.

- Nie, chociaż moje spotkanie skończyło się szybciej, niż przypuszczałem.

- Jakież kłopoty?

- Tak, krewni. - Włożył ręce do kieszeni i niespodziewanie zmienił temat.

- Chciałabyś pójść ze mną na kolację? Moi przyjaciele prowadzą nad rzeką małą restaurację. Jest czwartek, więc nie powinno być tłoczno.

Pomyślała, że powinna odmówić.

- Chętnie - odpowiedziała zamiast tego,

„Kakadu” była małą restauracją, mogącą pomieścić nie więcej niż dwadzieścia osób. Wieczór był przyjemny i stoliki rozstawiono także na dworze, pod drzewami gumowymi, zaledwie kilka metrów od szumiącego w ciemności nurtu rzeki.

- Niemal każdej zimy restaurację zalewa woda - oznajmił Reith, widząc zaciekawione spojrzenie, które Sophie rzuciła w stronę płynącej blisko rzeki. - Ale Liz i Tony twierdzą, że opłaca im się co roku czyścić ją ze szlamu i remontować, choćby dla samego widoku.

Po chwili przywitani ich gospodarze. Liz i Tony mieli oboje ponad sześćdziesiąt lat, ale wyglądali nad wyraz czerstwo.

- Bardzo spokojny wieczór - powiedział Tony, przypatrując się Sophie z uśmiechem. - Wspaniale nadaje się na spotkania we dwoje. Gdzie ich posadzimy, mateczko? - zwrócił się do Liz.

Wybrali dla nich stolik na dworze, napełnili kieliszki chłodnym winem i poszli dopilnować zamówienia.

- Często tu przychodzisz? - spytała Sophie, starając się przerwać niezręczne milczenie.

- Tak. - Reith zdawał się całkowicie pogrążony w myślach.
 - Chociaż nie powinienem, bo to za daleko od Inyabarry. Ale kiedy tu jestem, zawsze mam przy sobie telefon komórkowy.
 - Po chwili milczenia dodał: - Muszę jednak przyznać, że taki ciągły dyżur bywa trochę męczący.
 - Tak - odparła Sophie. - Wczoraj w nocy mało spałeś. Powinieneś być teraz w łóżku.
 - Nie zasnąłbym. Chyba że miałbym u boku kogoś, kto pomógłby mi zapomnieć o kłopotach.
 - Kup sobie małe radio - poradziła na pozór obojętnie, ale poczuła, że się rumieni.
 - Przepraszam. - Reith podniósł ręce w obronnym geście.
 - Powinienem być ci wdzięczny, że zgodziłaś się pójść ze mną na kolację. Pomyślała, że ten człowiek jest naprawdę bardzo samotny.
 - Co się dziś stało? - spytała łagodnie. - Dlaczego doktor Kenrick potrzebuje nagle towarzystwa?
 - Czy to aż tak widać? - Spojrzał na nią zdziwiony.
 - Tak.
- Reith w zamyśleniu przesunął palcami po brzegu swojego kieliszka.
- Nic się stało. Po prostu medycyna kolejny raz uratowała życie, tylko... ta osoba nie chciała już dłużej żyć.
 - Co masz na myśli? Westchnął.
 - W szpitalu leży pewna bardzo miła staruszka z ciężką rozedmą, kłopotami z krążeniem, potwornymi wrzodami i całym zestawem innych chorób. Ma dziewięćdziesiąt trzy lata i twierdzi, że już nie ma po co żyć. Jej mąż niedawno zmarł, a ona podczas weekendu miała zatrzymanie akcji serca.
 - Ale przeżyła?
 - Tak. Była wtedy przy niej siostrzenica, która szybko zaalarmowała dyżurnego lekarza. Reanimację przeprowadzono bardzo sprawnie i uniknięto

uszkodzeń mózgu. Ale May nie jest zadowolona, więc poprosiła mnie, bym dopilnował, żeby następnym razem mogła spokojnie umrzeć.

- A to jest możliwe?

- Powinno być możliwe - przyznał. - Dla wielu cierpiących ludzi jest to jedyne wyjście. W tym przypadku największym problemem jest postawa siostrzenicy, która za wszelką cenę chce zostać jedyną spadkobierczynią. Pewno uważa, że im więcej narobi szumu, przedłużając staruszce życie, tym więcej dostanie pieniędzy. Zjawiła się tutaj kilka tygodni temu, kiedy już było jasne, że May nie wyzdrowieje, i od chwili przyjazdu straszy wszystkich lekarzy procesami.

- I co?

- Na prośbę May skontaktowałem się z jej adwokatem, który spisał przy świadkach jej oświadczenie, że nie chce być reanimowana. Oczywiście nie podobało się to siostrzenicy, która nie może w ten sposób wykazać, jaka to jest zaangażowana. Bardzo żałuję, że nie mogłem być tu w niedzielę, kiedy to wszystko się działo.

- Ale przecież nie chcesz pracować w szpitalu?

- Nie, ale czasami myślę, że gdyby udało mi się namówić jakiegoś lekarza na przyjazd do Inyabarry, to razem moglibyśmy założyć malutki szpitalik z kilkoma łózkami dla ludzi, którzy tak jak May chcą spokojnie umrzeć w swoich rodzinnych stronach.

- Wiesz dobrze, że dwóch lekarzy nie utrzymałoby się w Inyabarze.

Reith smutno się uśmiechnął.

- To prawda, nie opływaliby w dostatki. A może pani, doktor Lynton, porzuciłaby swoją dobrze płatną pracę w Londynie i osiedliła się tutaj? Praca przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, piaszczyste drogi, szkoła dla dzieciaków dwadzieścia kilometrów od domu, o kinie nie wspomnę.

- Czy to propozycja? - spytała zaskoczona.

- Może uda się pani nakłonić Kevina do przeprowadzki? Chociaż boję się, że wtedy jego podróże do Belgii zajęłyby nieco więcej czasu.

- Nie - odrzekła powoli. - Kevin na pewno by się nie zgodził. Ja może...

- Co? Bez Kevina? - Reith był wyraźnie zaskoczony.

- Może.

- Jesteś marzycielką, Sophie - oświadczył, kręcąc z niedowierzaniem głową. - Tak jak każdy turysta, który wyobraża sobie, jak by to było wspaniale, gdyby na stałe mieszkał w miejscu, gdzie spędza wakacje. Cała praca, codzienne kłopoty, nawet narzeczony zostaje tysiące kilometrów stąd...

- Więc składasz mi propozycję i od razu wiesz, że jest nierealna?

- Ależ mówiłem poważnie...

- Nie naśmiewaj się ze mnie!

- Przepraszam, ale rzeczywiście rozśmieszyło mnie to, że twoim zdaniem mogłabyś tu pozostać. Wiele kobiet próbowało i jeszcze żadnej się nie udało.

- Mówisz o swojej matce?

- Między innymi. - Urwał, bo przyniesiono kolację. Sophie, kierując się radami Reitha, zamówiła langusty podane w aromatycznym, winnym sosie. Jadła z apetytem i ze zdziwieniem zauważyła, że prosi o trzecią porcję chrupiącego chleba domowego wypieku.

- Wspaniała kuchnia, prawda? - powiedział Reith, przypatrując jej się z uśmiechem. - Zupełnie jak w domu.

Sophie uniosła ironicznie brwi.

- Naprawdę? A ja myślałam, że ciebie dokarmiają wszystkie okoliczne gospodynie!

- Tak - przyznał niechętnie - ale to taka transakcja wiązana. Jedzenie za hipotekę, pieluszki i comiesięczne wywiady w szkole.

- Nie bój się, ja nie umiem gotować.

Zamilkł i do końca posiłku prawie się nie odzywał. Milczenie trwało także przez prawie całą drogę powrotną. Zresztą, nawet gdyby chcieli

rozmawiać, musieliby przekrzykiwać ryk silnika ciężarówki Reitha, co było prawie niemożliwe.

- Dlaczego nie kupisz sobie porządnego samochodu? - krzyknęła jednak Sophie.

- Kevin jeździ mercedesem, prawda? - zawołał ironicznie Reith i Sophie ze złością musiała przyznać, że zgadł za pierwszym razem. - Wiesz może, gdzie jesteś?

Rozejrzała się wokół. Drogi, po których jechali, wyglądały tak samo jak te, po których błędziła kilka dni temu.

- Nie bardzo - odpowiedziała niepewnie.

- Właśnie na tym zakręcie poznałaś koalę.

Zapisały hamulce. Na środku drogi siedziała szara, puchata kulka.

- Czy to ten sam? - spytała zaskoczona.

- On chyba lubi ryzykować. - Reith wzruszył ramionami. - Chcesz go przenieść?

- Nie!

- Jak zawsze wszystko na moich barkach.

Uśmiechnął się i wyskoczył z ciężarówki.

Sophie podążyła za nim, chcąc popatrzeć z bliska na koalę. Reith podniósł niedźwiadka i nie zważając na jego fukanie, uważnie obejrzał.

- Czy coś mu się stało? - spytała zaniepokojona.

- Na szczęście nic poważnego. Chcesz może pójść z nami na spacer? - spytał nieoczekiwanie.

- Z wami?!

- To jest to samo zwierzę, co wtedy. Spójrz na tę bliznę pod okiem i wyliniała sierść na prawej, tylnej łapie. On widocznie lubi tu przesiadywać. Moim zdaniem dlatego, że jest trochę zapchlony, a żwir na drodze wspaniale nadaje się do drapania.

- Żartujesz, prawda? - roześmiała się Sophie.

- Jakże mógłbym żartować z tak poważnych spraw? - Reith odwzajemnił uśmiech. - Jeżeli koala szybko nie pozbedzie się zwyczaju przesiadywania na środku drogi, prawdopodobnie nie dożyje spokojnej starości. Dlatego chcę go przenieść głęboko w busz, tak żeby zapomniał, jak miło tu spędzał czas. Idziesz ze mną?

- Teraz?

- A kiedy?

- Ale... - Sophie rozejrzała się niespokojnie. - Nie zgubimy się?

- Jeśli nie chcesz iść, zostań.

Wzruszył zniecierpliwiony ramionami i zniknął w buszu.

Pobiegła za nim. Z dwojga złego wolała to niż zostać pożartą przez jakieś nieznane stworzenia, z pewnością czyhające na nią w nieprzyjaznej ciemności.

- Boi się pani, pani doktor? - spytał drwiąco, kiedy go dogoniła.

- Nieprawda, to tylko... - W ciemnościach rozległ się chrapliwy ryk jakiegoś zwierzęcia i Sophie kurczowo przywarła do ramienia Reitha. - Co to było? - spytała drżącym głosem.

- Koala.

- Słucham? - Spojrzała na niego pytająco. - Przecież one nie mogą tak ryczeć.

- W sklepach z pamiątkami rzeczywiście zachowują się nieco dostojniej - przyznał. - Zresztą ja też bym się nie odzywał, gdybym był wypchany. Ale tutaj to inna sprawa. Właśnie słyszałaś samca poszukującego partnerki.

- Jakie to romantyczne! - Wzdrygnęła się.

- A jak twoje stopy? - Spojrzał krytycznie na jej lekkie sandaalki. - Nie najlepsze obuwie na spacer po buszu. Na twoim miejscu coś bym zaśpiewał.

- Zaśpiewał?! -

- Żeby odstraszyć węże.

- Jakie węże?!

- Spotyka się tutaj nawet dość duże okazy.

Sophie wydała cichy okrzyk przerażenia. Dużo dałaby za to, aby znaleźć się teraz w Londynie.

- Myślałem, że lubisz busz. - Reith zdawał się odgadywać jej myśli. -

Czyżbyś traciła entuzjazm?

- Czy tu naprawdę są węże?

- Tu naprawdę są węże - odparł poważnie, ale widząc strach pojawiający się w jej oczach, zmienił ton i dodał uspokajająco: - Nie masz się czym denerwować. Przecież nie kazałbym ci iść ze mną, gdyby były jakieś powody do obaw. Węże są zmiennocieplne i w nocy odpoczywają, trawiąc w spokoju to, co pożarły przez cały dzień.

- Uff!

- Chce pani wracać do domu, pani doktor?

- Tak!

Wreszcie Reith uznał, że przeszli wystarczająco daleko, by zostawić zapchlonego misia. Umieścił go na konarze eukaliptusa i koala, nie zastanawiając się ani chwili, rozpoczął marsz w górę.

- Nawet nie podziękował - mruknął Reith z udanym oburzeniem.

- Będzie miał daleko do swojej dziewczyny.

- Możliwe - zgodził się. - Czyli wyświadczyłem mu dwie przysługi za jednym zamachem.

- Z tego, co wiem - sucho zauważyła Sophie - koale nie chodzą na wywiadówki ani nie zmieniają dzieciom pieluch.

- Więc pewno czują się bardziej z sobą związane. Wracamy? - Spojrzał na nią pytająco i nie czekając na odpowiedź, wziął ją za rękę i poprowadził przez mroczny busz.

- Nie odprowadzasz mnie chyba do przedszkola, prawda?

- Sophie bezskutecznie próbowała wyrwać dłoń z jego uścisku.

- Nie chcę cię stracić.

- Czyżby?

- Sophie...

- Co? - przerwała mu, nagle czymś rozwścieczona.

- Nie powinienem był cię całować. - Jego głos zabrzmiał poważnie. -

Zrozum, że pocałunek niczego nie obiecuje.

- Może w twoim mniemaniu... - Ugryzła się w język.

- Sophie, to jest głupie.

- Tak? Ja jestem szczęśliwą narzeczoną, a ty samotnym mężczyzną, który nikogo nie potrzebuje, więc wszystko, co między nami zaszło, jest głupie, niepotrzebne i... I czy możesz puścić moją rękę?

- A poradzisz sobie?

- Na pewno. Obejdę się bez twojej pomocy.

Chociaż Sophie wypowiedziała te słowa pewnym głosem, nie była przekonana o ich prawdziwości.

Kiedy dojechali do pensjonatu, dochodziła jedenasta. Ku ich zaskoczeniu światła paliły się nadal, a Moira wybiegła im naprzeciw.

- Och, Sophie, miałam nadzieję, że szybko wrócisz. Mandy nie chce zasnąć. Cały czas popłakuje.

- Przepraszam, nie powinnam była jechać do Lambertton - odpowiedziała głosem pełnym skruchy.

- Oczywiście, że powinnaś, przecież prosił cię o to doktor Kenrick. - Zdawało się, że w oczach Moiry nie mogła znaleźć lepszego usprawiedliwienia.

- Już biegnę do Mandy - powiedziała Sophie, wyskakując z ciężarówki. - Ty nie będziesz nam potrzebny - dodała, zauważywszy, że Reith idzie za nią.

- Mandy jest moją pacjentką - odparł.

Dziewczynka leżała na łóżku skulona w mały kłębuszek i jej ciałem wstrząsał szloch. Wyraźnie nie mogła pojąć, co się stało, i była nieprzytomnie przerażona.

- Mandy, chodź do mnie. - Sophie schyliła się, żeby przytulić małą, ale ta nie zareagowała.

- Od zmroku Mandy się nie ruszyła - wyjaśniła Moira. - Już chciałam po was dzwonić.

- Powinnaś była to zrobić. Wiesz przecież, że zawsze mam przy sobie telefon. Mogliśmy być z powrotem już trzy godziny temu - powiedział Reith.

- Nie chciałam wam przeszkadzać. - Spojrzała na Sophie, jakby domyślała się czegoś. - Poza tym Mandy nie jest chyba chora.

- Ale będzie, jeśli czegoś szybko nie zrobimy. - Reith wziął na ręce sztywne ciało i wyszedł na dwór. Sophie i Moira podążyły za nim.

Wieczorne powietrze ochłodziło zarumienione i spuchnięte policzki Mandy i dziewczynka, zaskoczona nagłą zmianą temperatury, przestała nagle płakać.

- Nie chcę więcej hałasów, panno Mandy Bell. Podbródek dziecka zadrżał. Po policzku spłynęła łza, a usteczka wykrzywiły się, ponownie gotowe do płaczu.

- Mówię poważnie. - Reith najwyraźniej nie był w nastroju do żartów. - Właśnie schodzę po schodach do ogrodu. Lepiej bądź cicho, bo jak mnie zdenerwujesz, to na pewno się przewrócę i wylądujemy w jakimś kolczastym krzaku. Mandy spojrzała na Reitha z obawą i zamilkła.

- A teraz, panno Mandy, słuchaj uważnie. Dobrze? Dziewczynka prawie niedostrzegalnie skinęła głową.

- Pani Sanderson jest bardzo zmęczona i powinna iść spać. Przecież chcesz, żeby się tobą opiekowała przed powrotem Mary, prawda? Jeśli tak, to pozwól jej spokojnie zasnąć i więcej nie męcz. Potem pójdziesz ze mną i doktor Sophie na górę i my posiedzimy przy tobie, aż zaśniesz. Ale jeśli znowu zaczniesz płakać, obudzisz panią Sanderson, więc wolelibyśmy, żebyś była cichutko jak myszka. Możesz to dla nas zrobić?

- Tak... - wyszeptała dziewczynka.

- Obiecuję, Mandy, że cię nie zostawimy. Zawsze ktoś przy tobie będzie, czy będziesz spać czy nie. Na razie my się tobą opiekujemy, ale już niedługo

pojedziesz do Mary i Teda. Teraz ukołyszymy cię do snu, za chwilę twoje oczka się zamkną, a potem położymy cię cichutko do łóżeczka. Obudzisz się dopiero rano i wtedy zobaczysz, że przy tobie jest doktor Sophie i pani Sanderson. Masz jakieś pytania?

Mandy nie miała pytań,

- Dobrze, więc próbujemy zasnąć. - Reith przeszedł przez ogród w kierunku dużego, rozłożystego drzewa gumowego i wygodnie oparł się o jego pień. - Doktor Sophie, proszę przyjść do nas i usiąść tutaj.

- Ja popatrzę...

- Doktor Sophie! - Głos Reitha zabrzmiał stanowczo.

- Tak?

- Proszę tu przyjść i usiąść z nami. Uznała, że nie ma sensu się z nim spierać.

Po pół godzinie Mandy usnęła. Sophie patrzyła na nią z czułością.

- Wezmę ją już do łóżka - powiedziała cicho.

- Poczekaj jeszcze chwilę - szepnął Reith. - Niech zaśnie głębiej. Nie chcę, żeby się obudziła po drodze.

- Biedna mała - przytaknęła Sophie.

- Dzielna mała. Zobaczysz, że sobie poradzi. Mary i Ted otoczą ją miłością i, zapewnią bezpieczeństwo, a kiedy dorośnie, znajdzie sobie miłego kawalera...

- Nie ma w tym nic złego - oburzyła się Sophie, wyczuwając w jego głosie drwinę.

- Ty też tak zrobiłaś, prawda? To takie zabezpieczenie na życie...

- Mandy już zasnęła - przerwała gwałtownie. Jak ten człowiek może ją tak obrażać? Przecież prawie nic o niej nie wie! Wstała. - Daj mi ją.

- Ja ją zaniosę.

- Nie!

Nie chciała, żeby Reith wchodził z nią na górę, bo czuła się wtedy bardzo niepewnie.

- Sophie... - Reith wstał ostrożnie, żeby nie zbudzić Mandy śpiącej w jego ramionach. - To, co się zdarzyło między nami, to chwila zwykłego, wakacyjnego zapomnienia - powiedział łagodnie.

- Oczywiście - zgodziła się Sophie i pomyślała, że powinna jak najszybciej uciec z tego miejsca.

- Wiesz, że nie byłabyś tutaj szczęśliwa. Odgadywał jej myśli.

- Oczywiście, przecież ty zawsze masz rację. Oceniasz ludzi według siebie i nikomu nie dajesz szansy. A teraz oddaj mi Mandy i jedź do domu.

Do domu...

Na twarzy Reitha pojawiła się niepewność.

- Czy Kevin przyjeżdża jutro?

- Tak. Nie... Chyba tak. Skinął głową.

- Więc się doczekałaś, Sophie. Jutro zaczyna się twoje szczęście, twoja nowa przyszłość.

- Nie!

To krótkie, zdecydowane słowo zabrzmiało jak zgrzyt w nocnej ciszy. Dlaczego ona tam ciągle stoi, myśląc o czymś, co nie może się spełnić?

Poczuła niemal ulgę, kiedy usłyszała silnik nadjeżdżającego samochodu. Odwróciła wzrok od Reitha, żeby zobaczyć, kto jest niespodziewanym gościem.

Patrzyli oboje, jak samochód zwalnia, skręca na podjazd i wreszcie staje.

Sophie wiedziała, kto przyjechał, zanim mężczyzna wysiadł. To było drogie auto.

Mercedes...

Kevin.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kevin wysiadł z samochodu i spojrział na pensjonat tak, jakby nie był pewien, czy trafił pod właściwy adres.

Ubrany był tak samo jak w mieście: w elegancki, dobrze skrojony włoski garnitur. Dwudniowa podróż nie zaszkodziła nawet jego perfekcyjnie obciętym włosom.

Sophie zdziwiła się, że tak obojętnie przyjęła jego przyjazd. Zwykle, widząc Kevina, czuła wypełniającą ją wdzięczność, która towarzyszyła jej od momentu, kiedy się nią opiekował.

Ciszę przerwał Reith:

- Doktor Lynton, wydaje mi się, że pani zbłąkany rycerz czeka na powitanie. Czy mogę zasugerować, żeby pani podeszła i powiedziała mu „cześć“?

Kpina w głosie tego australijskiego nieokrzesanca czasami doprowadzała ją do pasji.

- Kevin! - zawołała i postąpiła krok w jego kierunku.

- Sophie! - odpowiedział z ulgą Kevin i odwrócił się. Po kilku krokach zatrzymał się niepewnie, zobaczywszy trzy osoby zamiast spodziewanej jednej.

- Sophie?

- Sophie? - Reith szeroko się uśmiechnął. - Cóż, jeszcze nie poznałem nikogo o takim imieniu.

Sophie podeszła przywitać Kevina. Objął ją i pocałował w policzek, wyraźnie oczekując wyjaśnień.

- Kevin, to jest doktor Reith Kenrick. Reith, to Kevin Carson.

- Co się tu, u diabła, dzieje, Sophie? - spytał niezadowolony Kevin.

- Otóż... - Sophie miała pewne kłopoty z zebraniem myśli. - Reith, to znaczy doktor Kenrick, prowadzi tutaj praktykę. Mandy, ta mała dziewczynka, jej ojciec jest chory i... I my się nią opiekujemy.

- Razem? W ogrodzie? O północy? - Kevin nie ukrywał niedowierzania i Sophie musiała przyznać, że jej wyjaśnienia nie są przekonujące.

- No, niezupełnie. Ja i właścicielka pensjonatu, pani Sanderson, opiekujemy się Mandy, ale dziś byłam zajęta... z doktorem Kenrickiem... zajmowaliśmy się innym pacjentem. Wróciliśmy późno do domu i Mandy była trochę zdenerwowana. - Sophie czuła się jak małe dziecko przyłapanie na psotach.

- To znaczy, że pracowaliście? - Kevin nie mógł zrozumieć jej tłumaczeń i zareagował jak zwykle, gdy rzeczy szły nie po jego myśli; gniewem. - Sophie, przecież jesteś na wakacjach.

- Podobno to jej miesiąc miodowy - wtrącił Reith z uprzejmym uśmiechem. - Pan pracował w Belgii, doktor Lynton w Inyabarze. To bardzo nowoczesny sposób spędzania podróży poślubnej. Sophie, czy mam położyć Mandy do łóżka?

- Tak, dziękuję, doktorze Kenrick. Pomogę panu - odparła, tłumiąc wściekłość.

- Nie ma potrzeby, poradzę sobie. - Z twarzy Reitha nie zniknął uśmiech. Nie próbował nawet ukrywać, że bawiła go zaistniała sytuacja. - Znam drogę do sypialni. Ty, Sophio, przywitaj się z narzeczoną. Nie chciałbym wam przeszkadzać. - Skierował uśmiechniętą twarz w stronę gościa. - Witamy w Australii, Kevin. Cieszę się, że w końcu udało ci się dojechać. - Z powrotem odwrócił się w stronę Sophie. - Pewnie już pani więcej nie zobaczę, doktor Lynton. Chciałbym życzyć pani wiele szczęścia w małżeństwie.

Mogłaby przysiąc, że na ułamek sekundy pojawił się w oczach Reitha smutek.

Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak spokojnym miejscem jest pensjonat Moiry Sanderson. Przyjazd Kevina wszystko zmienił. Już po kilkunastu minutach czuła się wyczerpana jego natarczywymi pytaniami. Co gorsza jej odpowiedzi tylko potęgowały jego złość i rozdrażnienie.

Moira, zwabiona dobiegającym z kuchni hałasem, zeszła na dół.

- Dobry wieczór - powiedziała, podając Kevinowi rękę. - Przygotowałam dla pana pokój na dole.

- Ale Sophie zamawiała podwójną sypialnię - odparł, nie ukrywając zdenerwowania.

- Tak, ale ja na noc zostawiam drzwi otwarte, bo pilnuję Mandy. Jeśli ci to nie przeszkadza... - Sophie przerwała. Nie mogła znieść myśli o spaniu z Kevinem w jednym łóżku, ale nie mogła przecież o tym powiedzieć w obecności Moiry.

- Dobrze, prześpię się na dole, ale później o tym porozmawiamy - warknął. Spojrzał z dezaprobatą na wałki we włosach Moiry; zapewne nie takiej obsługi się spodziewał. - Wniosem na górę swoje rzeczy.

- Nie - powiedziała gospodyni, zagrządzając stanowczo drogę na schody. - Na górze śpi Mandy i nie można jej budzić. Proszę zostawić bagaże na dole, panie Carson.

- Zamówiliśmy dwuosobowy pokój - protestował Kevin.

- Ale przedstawiali się państwo jako małżeństwo. - Moira skrzyżowała ramiona, jakby własną pierś chciała zagrozić wstęp na schody. Wyglądała imponująco i bardzo groźnie w swoim szkarłatnym szlafroku. - Doktor Lynton powiedziała mi, że ślub jeszcze się nie odbył, a ja pod swoim dachem nie pozwolę na żadne figle, tym bardziej że Mandy potrzebuje spokoju.

- Przecież nie jestem już dzieckiem. - Kevin zacisnął zęby i najwyraźniej był bliski wybuchu. - Sophie też skończyła osiemnaście lat.

- W porównaniu ze mną jest pan dzieckiem, a Sophie to panna, za którą jako gospodyni czuję się odpowiedzialna. To porządny dom i takim pozostanie. Jeśli się to panu nie podoba, droga wolna. W Lambertton jest kilka moteli.

Kevin osłupiał. Nic nie rozumiejąc, przenosił wzrok z Moiry na Sophie i z powrotem. W końcu się otrząsnął.

- Pakuj się, Sophie. To dom wariatów.

- Nie mogę, Kevin. - Wymawiała słowa z trudnością. Nigdy dotąd mu się nie sprzeciwiała. - Obiecałam Mandy, że będę się nią opiekować.

- Jakiej Mandy?

- Tej dziewczynce.

- A ile to potrwa?

- Nie wiem.

Sophie nigdy dotąd nie czuła się tak nieszczęśliwa. Z jednej strony pragnęła zapaść się pod ziemię, żeby już tego nie przeżywać, z drugiej zaś czuła wdzięczność dla Moiry, która tak zdecydowanie stanęła w jej obronie. Gdyby tylko...

- To dziecko nie jest twoim pacjentem - Kevin brutalnie przerwał jej myśli. - A to miejsce nie jest twoim domem.

- Jest - odpowiedziała cicho.

Noc spędziła samotnie w wielkim, małżeńskim łóżu, tępo wpatrzona w sufit.

Co ma teraz począć? Co?

Nadchodzący dzień nie przyniósł odpowiedzi na nurtujące ją pytania. Kevin chodził wściekły, ale na szczęście zajął się wysyłaniem jakichś faksów. Sophie zaproponowała, że oprowadzi go po okolicy.

- A co tu można oglądać? - spytał zdziwiony.

- Krajobraz, góry. Może nawet uda nam się spotkać koalę.

- Pójdź sama - odparł, nie wykazując zainteresowania. - Jak skończę, może do ciebie dołączę.

Sophie popatrzyła na niego, czując się bardzo nieszczęśliwa i samotna.

- Kevin, po co tu przyjechałeś?

Podniósł wzrok znad listu, który pisał, i uśmiechnął się. Doskonale znała ten uśmiech - zawsze dawał jej poczucie bezpieczeństwa, mówił, że jest ktoś, kto ją bezpiecznie poprowadzi przez życie.

- Przyjechałem do ciebie. Przecież wiesz, że zawsze jestem tam gdzie ty.

- Trochę się spóźniłeś.

- Sophie, jestem bardzo zajęty - tłumaczył cierpliwie. - Musisz to zrozumieć.

- Kim była ta kobieta w Belgii?

- Kto?

- Ta kobieta, która była z tobą, kiedy do mnie dzwoniłeś.

- Nie było żadnej kobiety.

Odpowiedział za szybko. Za szybko uprzytomnił sobie, skąd dzwonił i kto mógł z nim wtedy być. Zaprzeczenie wywarło efekt przeciwny do zamierzonego, Sophie mu nie uwierzyła.

- Jak myślisz, ile czasu możemy tu jeszcze zostać? - spytała ostrożnie.

- Przecież ustaliliśmy, że nasze dziecko ma być poczęte tutaj. Na szczęście mam z sobą faks i komputer.

- A co potem?

- Pojedziemy do domu.

- A ślub?

- Kiedy będziemy mieli trochę czasu. - Pochylił się nad klawiaturą. - Kochanie, znamy się przecież bardzo długo i nie ma znaczenia, czy jesteśmy przed czy po ślubie.

Rozmowę przerwał natarczywy dźwięk telefonu komórkowego i niemal w tej samej chwili zaszumiał faks. Kevin uśmiechnął się przepaszająco i podniósł słuchawkę. Audiencja skończona.

Sophie powędrowała do ogrodu. W jej głowie panował potworny chaos. Zaczęła sobie wyobrażać swoją przyszłość bez Kevina.

I bez Reitha...

- Sophie!

Podniosła głowę i ujrzała stojącą w drzwiach Moirę.

- Telefon do ciebie.

Przez chwilę miała nadzieję, która zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.

- To Elvira Pilkington. Wpadła w histerię tej nocy, kiedy zginął ojciec Mandy. Nie mam pojęcia, czego może od ciebie chcieć, ale prosi o rozmowę z lekarzem kobietą. Tak potwornie krzyczy, że powinnaś ją słyszeć.

Moira nie przesadzała. Ze słuchawki dobiegł przenikliwy krzyk, tak głośny, że Sophie musiała odsunąć słuchawkę od ucha.

- Doktor Lynton? Doktor Lynton, chciałabym, żeby pani natychmiast do mnie przyjechała. Coś strasznego dzieje się z moją córką, moją kochaną Christabelle... Zamknęła się w swoim pokoju i cały czas płacze. Kiedy tylko weszła do domu, wiedziałam, że coś jest nie tak, bo była biała jak ściana. Potem poszła do ubikacji wymiotować, a teraz nie chce mnie do siebie wpuścić ani powiedzieć, co się stało. Kiedy zaproponowałam, że zawołam doktora Kenricka, krzyknęła, że prędzej umrze, niż pozwoli się do siebie zbliżyć jakiemuś facetowi. Doktor Lynton, może mi pani pomóc?

Elvira Pilkington wybuchnęła płaczem. Sophie miała chwilę, żeby pomyśleć.

- Pani córka jest pacjentką doktora Kenricka, prawda? - spytała.

- Tak, ale Christabelle ma w swoim pokoju telefon i jak tylko próbowałam do niego zadzwonić, krzyczała i mnie rozłączała.

- Może ja spróbuję? - zaproponowała Sophie.

W słuchawce zapadła cisza. Po chwili rozległ się głos kogoś trzeciego: Christabelle podsłuchiwała.

- Nie! Nie chcę, żeby dotykał mnie mężczyzna. Mamo, nie pozwól jej zadzwonić, bo się zabiję!

Sophie usłyszała gwałtowny płacz. Sytuacja zaczynała być poważna; rozhisteryzowane nastolatki zdolne są do wszystkiego.

- Zaraz do ciebie przyjadę, Christabelle - powiedziała więc łagodnie.

- Byłabym pani wdzięczna, pani doktor - ponownie włączyła się matka. - Słyszysz, córeczko? Doktor Lynton się tobą zaopiekuję.

- Będę za pięć minut - pospiesznie obiecała Sophie i odłożyła słuchawkę.

Zamyśliła się. Kilka kroków od niej stały Moira i umorusana czekoladą Mandy, wyraźnie czekając na jej decyzję.

- Muszę pojechać - odezwała się wreszcie. - To wygląda poważnie.

- Masz rację - zgodziła się Moira. - W innym wypadku nie prosiłabym cię do telefonu.

- Ile lat ma Christabelle?

- Czternaście. Już ogląda się za chłopakami.

- Możesz mi powiedzieć, jak tam dojechać?

- Oczywiście.

- Wyjeżdżasz? - spytała zasmucona Mandy. Oblizwała krem czekoladowy z dużej, drewnianej łyżki, którą trzymała w rękach. - Pani Sanderson i ja chciałybyśmy, żebyś została, ale - wskazała łyżką na pokój Kevina - on powiedział, że tu jest koniec świata i że ucieknij stąd jak może najszybciej.

- Czy naprawdę tak powiedział? - Sophie skrzywiła się, wyraźnie zirytowana. Potem przywołała na twarz uśmiech, podeszła do Mandy i przytuliła ją mocno do siebie. - Obiecuję, że nie wyjadę, zanim nie wróci Mary. Teraz muszę pojechać na chwilę do pani Pilkington, ale najpóźniej za godzinę będę z powrotem. - Poglaskała małą główkę i zwróciła się do Moiry: - Czy możesz zadzwonić do Reitha i opisać mu sytuację? Może będę potrzebować jego pomocy, tym bardziej że nie mam żadnych narzędzi.

- Oczywiście - przytaknęła Moira. - Chcesz, żeby pojechał do Pilkingtonów?

- Nie. - Sophie potrząsnęła głową. - Christabelle to kłębek nerwów i najpierw chciałabym się dowiedzieć, o co chodzi. Jeśli to jest to, o czym myślę, to możliwe, że w ogóle go nie będę potrzebować.

- A co podejrzewasz? - spytała Moira z ciekawością.

- Alkohol, narkotyki lub, o czym wolałabym nie myśleć, gwałt. To są trzy główne powody, że nastolatki zachowują się w ten sposób. Ale to tylko przypuszczenia.

Sophie się pomyliła.

Najpierw spędziła długie dziesięć minut, próbując nakłonić Christabelle do otworzenia drzwi. Dopiero kiedy obiecała, że wejdzie do pokoju sama i że odeśle matkę do kuchni, dziewczyna przystała na jej prośbę. Sophie ujrzała spuchniętą, pokrytą krostami twarz.

- Umieram - wyszeptała dramatycznie Christabelle. - Proszę tylko na mnie spojrzeć.

Sophie uśmiechnęła się i chwyciła dziewczynę za rękę; kontakt został nawiązany.

- Mogę wejść?

- Naprawdę jest pani lekarzem?

- Tak.

- Och... - Christabelle wybuchnęła płaczem i rzuciła się na łóżko, chowając twarz w poduszkę. Sophie weszła, zamknęła drzwi przed ciekawską matką, i usiadła koło szlochającej dziewczyny.

Po pięciu minutach Christabelle się uspokoiła, prawdopodobnie dlatego, że nikt nie próbował jej pocieszać. Leżała przez chwilę nieruchomo, po czym powoli odwróciła twarz w stronę Sophie. Napotkawszy jej uważne spojrzenie, z powrotem schowała się pod poduszkę.

- Nie ma się czego wstydzić - powiedziała Sophie spokojnie. - Widziałam wielokrotnie wietrzną ospę.

Zapadła taka cisza, jakby cały świat wstrzymał oddech.

- Nie wierzę ci! - dobiegł stłumiony szept spod poduszki.

- Christabelle, przecież widzę twoją szyję i ramiona. Masz wysypkę, która chyba już jutro pojawi się na nogach i brzuchu.

- Nie mam wietrznej ospy, to niemożliwe. To na pewno trądzik.

Wszystkie koleżanki śmieją się z mojej cery. Zabiję się, jeśli któraś z nich mnie zobaczy. - Znowu wstrząsnął nią szloch.

- Masz nudności? - spytała Sophie ze współczuciem.

- Tak, czuję się okropnie.

Położyła rękę na jej czole; było rozpalone.

- Doktor Kenrick da ci coś na zmniejszenie temperatury. Gdybym знаła australijskie leki, sama bym ci wypisała receptę. I przy okazji poproś o środek zmniejszający swędzenie.

Znowu zapadła cisza.

- A czy jest pani pewna, że to ospa?

- Niemal w stu procentach.

- A czy doktor Kenrick musi mnie zbadać?

- Myślę, że to jest jedyne sensowne rozwiązanie. Poza tym powinniśmy powiedzieć o wszystkim twojej mamie. Ona bardzo się o ciebie martwi.

Kolejna przerwa.

- Kiedy z tego wyjdę? - spytała w końcu Christabelle.

- Za dziesięć dni, najpóźniej za dwa tygodnie.

Dziewczyna zwróciła twarz w stronę Sophie i popatrzyła na nią z rozpaczą.

- Przecież nie mogę tak wyglądać przez dwa tygodnie. Wszyscy będą się ze mnie śmiać. Tylko małe dzieci chorują na ospę!

Sophie uśmiechnęła się ciepło.

- Może powiesz im, że masz *varicellę*; to łacińska nazwa ospy. A poza tym nie powinnaś się nimi zbytnio przejmować. Ospa wietrzna jest bardzo zaraźliwa. Za tydzień lub dwa większość z nich będzie chora.

- Naprawdę?

- Sama zobaczysz.

- *Varicella*. - Christabelle starała się zapamiętać obco brzmiącą nazwę. - A czy mogą wystąpić jakieś powikłania?

- Rzadko się to zdarza.

- Poczytam sobie o tym w słowniku medycznym mamy. O właśnie, powinnam ją zawołać. - Zeskoczyła na podłogę i podbiegła do drzwi. - Mamo!

Sophie pomyślała, że wie, po kim Christabelle odziedziczyła świdrujący w uszach głos.

Po dziesięciu minutach wymknęła się z domu państwa Pilkingtonów, pozostawiając matkę z córką zatopione w lekturze „Rodzinnego poradnika medycznego”. Jeszcze w holu słyszała, jak czytają łacińskie nazwy chorób: *varicella haemorrhagica, ulceration, toxemia, pneumonia...*

Otworzyła cicho drzwi wejściowe i wyszła na dwór. Przywitało ją ostre, południowe słońce i... Reith Kenrick.

- Czyżbyś podkupywała mi najlepszych pacjentów, doktor Lynton? - spytał kpiąco.

- Nie musisz się martwić. W najbliższych dniach złożysz tu wizytę - uśmiechnęła się Sophie. - Weź z sobą dużo recept. *Haemorrhagica, ulceration, toxemia*, a także *pneumonia*.

- Co się, na Boga, stało? - Reith poważnie się zaniepokoił.

- Ospa wietrzna.

Zapadł moment ciszy, po którym Reith wybuchnął śmiechem. Sophie obserwowała go, czując w sercu przeraźliwą pustkę.

- Żartujesz? - spytał po chwili. - Po relacji Moiry oczekiwałem co najmniej zbiorowego gwałtu.

- Tego nie ma na liście powikłań po ospie. - Sophie uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Aha, nikomu nie mów, że to ospa, tylko *varicella*.

- Będę pamiętał - obiecał, a wskazując głową na dom Pilkingtonów, spytał: - Jak myślisz, jestem tam potrzebny?

- Powinieneś dać im trochę czasu, żeby zrobiły listę możliwych powikłań - poradziła Sophie.

- A może zostaniesz ich domowym lekarzem przez najbliższe dwa tygodnie?

- Nie.

W jednym, krótkim słowie Reith usłyszał wszystko, co ją gnębiło.

Spojrzał na nią ze współczuciem.

- Nie jesteś szczęśliwa ze swoim narzeczonym, prawda, pani doktor?

- A co mi możesz poradzić?

- Myślę, że ludzie znajdują swoje szczęście tam, gdzie go się najmniej spodziewają.

- Niektórym nigdy się to nie udaje.

Chciała przejść koło niego i odjechać, ale chwycił ją za ramię. Sophie zadrżała, Reith cofnął dłoń.

- Dzwoniła Mary Vickers - rzekł powoli, patrząc zdziwiony na swoją rękę, jakby doznanie spowodowane dotknięciem jej ciała wywołało coś, czego nie rozumiał.

- I?

- Przyjedzie jutro rano i weźmie Mandy do siebie.

- To świetnie. - Głos Sophie złagodniał. - Mandy bardzo jej potrzebuje.

- Będziecie mogli wyjechać.

- Chyba tak.

Zapadła długa cisza. Czuli, że coś ich ku sobie pcha, jakaś nieznana siła, której oboje pragnęli się poddać. Ale żadne się nie poruszyło.

- Mam nadzieję, że będziesz z nim szczęśliwa - powiedział w końcu.

- Już mi to mówiłeś. - Podeszła do swojego samochodu i otwierając drzwi, po raz ostatni się odwróciła. - Ja też mam taką nadzieję - dodała łagodnie.

- Sama w to nie wierzę, ale przynajmniej spróbuję. Przynajmniej spróbuję - powtórzyła.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Gdzie byłaś?

Sophie właśnie wysiadała z samochodu, gdy usłyszała pełen złości głos Kevina. Stał na werandzie, a na jego twarzy malowała się furia.

- Musiałam pojechać do pacjentki - odpowiedziała zmęczonym głosem.

Nie czuła się na siłach, aby walczyć z jego wybuchem gniewu. - *Varicella*.

- *Varicella*? - zdziwił się Kevin. - A cóż to takiego? I czy tu nie ma innego lekarza? A ten Kenrick, czy jak mu tam, nie mógł się tym zająć?

- Potrzebna była kobieta, więc zadzwoniono do mnie.

- Jesteś przecież na wakacjach!

- Tak. - Sophie zdobyła się na słaby uśmiech. - Ty zresztą też, ale nie wydaje się, żeby to przeszkadzało ci w pracy.

- To zupełnie co innego - warknął. - Muszę dbać o nasze utrzymanie.

- Nie o nasze, tylko o swoje.

- A co będzie, kiedy założymy rodzinę? Słuchaj, Sophie, już od dwóch tygodni jestem na urlopie...

Przerwał w pół zdania, jakby przestraszył się, że powiedział za dużo. To, co jeszcze przed chwilą było dla Sophie jedynie mglistymi podejrzeniami, stało się faktem.

- Spędziłeś ten urlop w Belgii - powiedziała spokojnie. - Pamiętasz, zaplanowaliśmy sobie na ten czas miesiąc miodowy. - Westchnęła ciężko, boleśnie sobie uświadamiając, jak kruchy jest ich związek. - Kevin, to jest farsa. - Zdjęła z palca kosztowny pierścionek zaręczynowy z pięknym diamentem. - Pora ją skończyć.

Kevin otworzył ze zdumienia usta. Wyglądał jak ryba, która po wyciągnięciu z wody rozpaczliwie próbuje nabrać powietrza.

- Ale Sophio... - Potrząsnął głową, szukając odpowiedzi. - Ja cię potrzebuję.

Powiedział, że jej potrzebuje, nie że kocha.

Chwaliła go, dbała o niego, pozwalała czuć się kimś ważnym. Była jego przystanią, osobą, do której wracał po każdej wyprawie do wielkiego, podniecającego świata - świata, gdzie było wiele innych kobiet.

- Potrzebowałam cię, kiedy miałam siedemnaście lat - ciągnęła. - Zastępowałeś mi rodzinę, której nigdy nie miałam, i za to jestem ci wdzięczna. Ale teraz jestem już dużą dziewczynką i mam inne potrzeby. Chcę być kochana i traktowana jak partnerka, a ty będziesz mnie zawsze traktował jak żonę, której głównym obowiązkiem jest czekanie na ciebie w domu i przynoszenie kapci przed telewizor. - Uniosła się na palcach i delikatnie pocałowała Kevina w usta. - Byliśmy dobrymi przyjaciółmi i chciałabym, żeby tak zostało. Ale nie chcę być twoją żoną.

Z jego twarzy można było odczytać całą gamę uczuć: żal, zdziwienie, a w końcu gniew. Gniew jak zwykle zwyciężył.

- Ty dziwko - wysyczał przez zęby. - Ty niewdzięczna zmij. Spałeś z nim, prawda?

- Kevin, proszę cię...

- Nie zaprzeczaj! Wiem, że to prawda. Pomyśleć, że leciałem pół świata, żeby...

- Do Belgii miałeś trochę bliżej, prawda?

- A więc o to ci chodzi? - Twarz Kevina rozjaśniła się. - Nie wiem, kto ci o niej powiedział, ale to nieważne. Sophie, przyleciałem tutaj, żeby się z tobą ożenić. Na Boga, nigdy nic takiego nie obiecywałem Jane. Pragnę być z tobą.

Sophie cofnęła się o krok, unosząc ręce w obronnym geście.

- Kevin, nie chcę słuchać o Jane. Chcę ci tylko powiedzieć, że nie spałam z Reithem Kenrickiem. Ale to wszystko nie ma znaczenia, bo to, co było między nami, rozsypało się. Miałam nadzieję, że uda nam się coś uratować, ale teraz widzę, że to niemożliwe. Myślę, że najlepiej zrobisz, jeśli wyjedziesz. Zresztą na pewno już zadbałeś o to, żeby odliczyć od podatku koszty podróży.

Wyraz jego twarzy świadczył o tym, że zgadła. Oddała Kevinowi zaręczynowy pierścionek i wsiadła do samochodu. Odjechała, nie oglądając się za siebie.

Wróciła do domu późnym popołudniem. Zatrzymała samochód przed bramą, chcąc sprawdzić, czy zauważy stojącego przed pensjonatem mercedesa Kevina i dopiero upewniwszy się, że go nie ma, wjechała na podjazd.

Z domu wybiegła Mandy. Była bardzo przejęta.

- Sophie, przecież powiedziałaś, że wyjeżdżasz na godzinę - powiedziała oskarżycielskim tonem. - A nie było cię cały dzień, a pani Sanderson powiedziała mi, że wróciłaś na chwilę, ale ja spałam i cię nie widziałam. I jeszcze mi mówiła, że ty z panem Carsonem... pokłóciliście się i że dlatego pojechałaś i pani Sanderson powiedziała, że wie dlaczego, ale ja nie wiem, i jeszcze, że nie będziesz za nim tęskniła, ale to przecież jest twój przyjaciel, prawda, Sophie?

Mandy przerwała dla zaczerpnięcia tchu. Sophie wykorzystała chwilę ciszy i przykucnęła obok niej, biorąc ją za rękę. Spojrzała na miejsce, na którym jeszcze kilka godzin temu stał mercedes Kevina. Nie czuła żalu, lecz raczej zdziwienie, że nie odważyła się przeprowadzić takiej rozmowy znacznie wcześniej. Brakowało jej chyba odwagi.

Ale poznała Reitha, który co prawda nie chciał jej pokochać, ale na pewno oddał jej ogromną przysługę, otwierając oczy. Mimo wszystko nie była mu za to wdzięczna, bo wiedziała, że zawsze będzie go wspominać z bólem i żalem.

- Jesteś smutna - powiedziała Mandy poważnie, idąc z Sophie do domu. - Nie martw się, Sophie. Ani ja, ani pani Sanderson nie lubiliśmy za bardzo pana Carsona. A wiesz, jakie zrobiłyśmy pyszne ciasto? Całe je polukrowałyśmy, ale pani Sanderson nie pozwoliła mi go nawet spróbować, bo kazała mi poczekać, aż wrócisz. Powiedziała, że to dla ciebie.

- Dziękuję - uśmiechnęła się Sophie i mocno przytuliła dziewczynkę.

Mary Vickers przyjechała po Mandy w niedzielę rano. Gdy tylko dziewczynka zobaczyła znajomą osobę wysiadającą z samochodu, wybiegła z domu i rzuciła się jej na szyję.

Sophie obserwowała z werandy to serdeczne, pełne miłości powitanie. Wiedziała, że Mandy znalazła wreszcie kochającą matkę, a Mary dziecko, którego zawsze pragnęła.

Potem, kiedy siedziały już wszystkie w domu, Mandy na krok nie odstępowała swojej nowej mamy.

- Nie chciałam zostawiać Teda - tłumaczyła Mary - ale on nalegał, żebym jak najszybciej pojechała zająć się naszą kochaną Mandy. Jej ojciec był bardzo chory i gdyby nie my, opieka społeczna już dawno by ją zabrała. Kto wie, czy nie byłoby to dla niej lepsze.

- Nie możesz się winić o to, co się stało - odparła Sophie łagodnie.

- Wiem. - Mary w zamyśleniu pokiwała głową. - Jej ojciec był dobrym człowiekiem. Kiedy się dobrze czuł, bardzo o nią dbał. Cieszę się, że chociaż przez cztery lata się nią opiekował. Niektóre dzieci nie mają tyle szczęścia.

Sophie przytaknęła. Mandy zostały przynajmniej wspomnienia kilku lat spędzonych z ojcem, zaś horror jednej nocy prawdopodobnie rozplynie się w zapomnieniu.

- Jesteśmy bardzo wdzięczni tobie i doktorowi Kenrickowi - ciągnęła Mary. - Uratowaliście Teda, a potem doktor Kenrick poświęcił nam tyle czasu...

Sophie spojrzała zdziwiona na panią Vickers, która pospieszyła z wyjaśnieniem:

- Od tamtej strasznej nocy cały czas walczył o Mandy z ludźmi z opieki społecznej. Tłumaczył im, że mała będzie z nami bezpieczna, przedstawił masę oświadczeń różnych ważnych ludzi, że będziemy dobrymi rodzicami, że od dawna spędzamy z Mandy dużo czasu i że ją kochamy. Chyba spod ziemi wygrzebał nasze dawne podania o adopcję, zaświadczenie, że jestem bezpłodna, i całą masę innych papierów. Poruszył niebo i ziemię, żeby nam pomóc i dzięki

niemu będziemy mogli się opiekować Mandy. Doktor Kenrick jest najcudowniejszym lekarzem i najwspanialszym człowiekiem, jakiego znam.

Wkrótce potem szczęśliwa matka z córką pojechały do domu. Sophie miała ochotę rozplakać się ze wzruszenia.

- I co teraz zrobisz, Sophie? - spytała Moira, kiedy zostały same. - Wydaje mi się, że skutecznie odprawiłaś swojego narzeczonego?

- Raczej tak - niepewnie odparła Sophie.

- Nie będziesz za nim tęsknić?

- No... nie.

- To dobrze, bo ten człowiek cię wykorzystywał. Uwierz mi, lepiej jest być samotną, niż spędzić życie z kimś, kto traktuje cię jak służącą.

- Wiem, powinnam była powiedzieć mu to lata temu.

- Ale bałaś się samotności, prawda? - domyśliła się Moira.

- Chociaż to nie tym się martwisz... Mam rację, kochanie? Czy ma w tym udział nasz doktor Kenrick?

- Nie.

Moira spojrzała na nią ze zrozumieniem i smutno pokiwała głową.

- Kłamczucha.

- Moira, ja mam dwadzieścia osiem lat, a ty mnie traktujesz jak dziewczynkę. Dobrze wiem, że nie powinnam się zakochiwać w mężczyźnie, który potrzebuje kobiety mniej więcej tak jak nowej ciężarówki.

- Masz rację, Sophie - zachichotała Moira. - Nie może się obejść bez żadnej z tych rzeczy.

- Ale kobiety nie kupi.

- W końcu mu się uda. Musi tylko zdać sobie sprawę z tego, że istnieją kobiety, którym może zaufać.

- Założę się, że jeszcze przez co najmniej dziesięć lat będzie naprawiał swoją antyczną ciężarówkę - powiedziała Sophie ponuro.

- Co byś powiedziała na jakiś mały sabotaż? - zaproponowała Moira tajemniczo. - Może w ten sam sposób uświadomimy mu potrzebę posiadania kobiety. Zresztą, on na pewno już teraz się zastanawia, jak puste było jego życie bez ciebie.

- Nie... Nie wiem, o czym mówisz.

- Mam nadzieję, że nie wyjedziesz już dzisiaj, prawda? - spytała Moira.

- Właściwie powinnam.

- Ale nie wyjedziesz. - Moira szeroko się uśmiechnęła. - Pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć. Aha, zapomniałam ci powiedzieć, że nie płacisz za noclegi. Rozliczyłam się z twoim Kevinem i pobyt tutaj dość drogo go kosztował, więc od dzisiaj jesteś moim gościem. - Widząc, że Sophie się waha, zmieniła ton: - Przecież nie możesz wyjechać ze szwami na ręce.

- Powinnam wracać...

- Ale zostaniesz, prawda?

- Moira, zrozum, że prędzej zostanę zgrzybiałą staruszką, niż Reith Kenrick zwróci na mnie uwagę.

- Jeśli wyjedziesz, na pewno się tobą nie zainteresuje. Ale jeśli zostaniesz, to kto wie! Dziewczyno, walcz o swoją przyszłość.

- To nie ma sensu...

- Sophie, tylko dwa dni - poprosiła Moira. - Odpoczniesz, zapomnisz o tym Kevinie i będziesz miała czas na pomyślenie o przyszłości. Zrób to dla starej Moiry, kochanie.

Sophie nie wyjechała. Czowała, że nie może tak po prostu wszystkiego za sobą zostawić.

Poszła na długi spacer, wykapała się w strumieniu, a wieczorem porozmawiała z Moirą. W poniedziałek rano wstała dość późno, ale już wczesnym popołudniem nie bardzo wiedziała, co z sobą zrobić. Nie odpowiadały jej takie wakacje; potrzebowała aktywności.

Usiadła pod tym samym drzewem, gdzie razem z Reithem usypiała płaczącą Mandy, i próbowała skoncentrować się na lekturze powieści kryminalnej. Trzy razy czytała tę samą stronę i ciągle gubiła wątek, toteż z ulgą przywitała wołanie Moiry.

- Sophie, jesteś zajęta?

- Nie! - Z radością odrzuciła książkę. - Co mogę dla ciebie zrobić?

- Nie dla mnie, lecz dla, doktora Kenricka. Sophie wstała.

- Ty coś knujesz.

- Nic podobnego. - Moira szła w jej kierunku, wycierając ręce w ręcznik. - Mają jakieś problemy w szkole i pomyślałam, że może chciałabyś pomóc.

- Co się stało?

- Moja przyjaciółka, Muriel, mieszka tuż obok szkoły - wyjaśniła Moira. - Właśnie przed chwilą dzwoniła. Tam chyba wybuchła jakaś epidemia. Najpierw zemdląca jedna dziewczynka, a kiedy tylko ją ocucili, przytomność straciło kilka następnych. Teraz w sumie piętnaście dziewcząt na przemian mdleje i wymiotuje. Reith już tam jedzie, a Muriel kazała ci powiedzieć, że prawdopodobnie będziesz potrzebna.

Sophie wybuchnęła śmiechem.

- Przyznaj się, że to sama wymyśliłaś.

- Słowo harcerza. - Moira uroczyście podniosła białe od mąki palce. - Jeśli mi nie wierzysz, to jedź sprawdzić.

- Może po prostu zadzwonię do dyrektora i go zapytam?

- Świetnie! - ucieszyła się Moira. - Dyrektorem jest mąż Jenny, Dawid Lee. To bardzo miły człowiek. Zobaczysz, że z wdzięcznością przyjmie twoją pomoc.

Dyrektor sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

- Nie mam pojęcia, co tu się dzieje. Dziewczynki wyglądają na poważnie chore. Doktor Kenrick już zadzwonił po karetki z Lamberton, ale zanim przyjadą, przyda nam się...

- Zaraz tam będę - przerwała Sophie i szybko skierowała się do drzwi. Moira, która piekła w kuchni ciasteczka, widocznie uznała je za ważniejsze od szkolnego dramatu, bo została w domu.

- To wszystko przez te okropne hot-dogi, które sprzedają w szkolnej stołówce - wyjaśniła. - Jak tylko je zobaczysz, będziesz wiedziała, dlaczego tak myślę. Kiedyś tam byłam i dostałam jasnorożową parówkę. Wyobrażasz sobie różowe jedzenie? Było w niej tyle plastyku, że mogłam ją swobodnie zawiązać w węzeł. Nic dziwnego, że dzieciaki wymiotują.

Sophie pomyślała, że zatrucie pokarmowe jest całkiem prawdopodobną przyczyną całego zamieszania.

Gronkowiec powoduje niemal natychmiastowe objawy i jeśli ktoś jeszcze teraz ich nie ma, to zapewne już nie będzie miał. Gorzej z salmonellą, która może się inkubować nawet do trzydziestu sześciu godzin. Po pięciu minutach parkowała samochód przed szkołą. Przy drzwiach czekała na nią nauczycielka, która poprowadziła ją na szkolny dziedziniec.

- Ułożyliśmy je na dworze, w cieniu drzew. Pomyśleliśmy, że to może być zaraźliwe i że otwarta przestrzeń będzie bezpieczniejsza. Wszystkie zdrowe dzieci już wysłaliśmy do domu.

Sophie pomyślała, że to dosyć niebezpieczna profilaktyka, bo pozostali uczniowie też mogą być zarażeni. Odwiedzenie każdego dziecka w domu będzie bardzo trudne.

- Czy doktor Kenrick jest z nimi?

- Tak, przyjechał bardzo szybko.

- Czy podejrzewa zatrucie pokarmowe?

- Niestety nie wiem. - Nauczycielka wydawała się bardzo zdenerwowana.

Nagle chwyciła kurczowo ramię Sophie. - Doktor Lynton...

- Tak? - spytała Sophie łagodnie, zauważywszy strach w jej oczach.

- Ja... chyba jestem w ciąży, w siódmym tygodniu. Nie robiłam jeszcze testu, ale jestem prawie pewna... i nie chcę stracić tego dziecka. Już miałam dwa poronienia i bardzo się boję...

Sophie spojrzała niespokojnie na bladą, przerażoną twarz kobiety.

- Czy miała pani jakieś objawy?

- Chyba nie... To znaczy wymiotowałam rano, ale od dwóch tygodni mam nudności.

Sophie uśmiechnęła się.

- No tak. - Ujęła nauczycielkę za rękę. - Nie ma potrzeby ryzykować. Lepiej będzie, jeśli pojedzie pani do domu i nie będzie stamtąd wychodzić, zanim nie opanujemy sytuacji. Dobrze?

- Dziękuję, pani doktor.

Sophie przez moment patrzyła za odchodzącą kobietą, po czym otworzyła drzwi prowadzące na szkolny dziedziniec.

Nie spodziewała się takiego widoku. Wokół leżały skulone dziewczęta. Jedne krzyczały, inne cicho popłakiwały lub jęczały. Wśród nich bezradnie kręcili się nauczyciele, a nad wszystkim starał się zapanować Reith.

Sophie podeszła do niego i dotknęła jego ramienia.

- Jak mogę pomóc?

Reith odwrócił się zaskoczony.

- Ty?!

Sophie nie wyczuła w jego głosie radości.

- Myślałam, że potrzebujesz pomocy - wyjąkała speszona.

- Można tak powiedzieć.

- Wiesz, co spowodowało tę epidemię?

- Chyba tak. - Odwrócił się w stronę dziewcząt. - Ciekaw jestem, czy tobie też uda się zgadnąć?

W zielonych oczach Sophie pojawiła się złość. O co mu chodzi?

- Czy możesz mi powiedzieć, co się tu dzieje? Uśmiechnął się ironicznie.

- Najpierw spróbuj odpowiedzieć mi na kilka pytań. Po pierwsze, co tutaj widzimy?

Sophie stłumiła wybuch.

- Kilkanaście wijących się z bólu dziewcząt.

- Zabawne, prawda? Ani jednego chłopca. Wiek?

- Nastolatki.

- Słusznie. To jest koedukacyjna szkoła, w której uczą się dzieci od czterech do siedemnastu lat. A tu mamy same trzynasto- i czternastoletnie dziewczyny. Nie były na żadnym przyjęciu, gdzie mogłyby zjeść coś nieświeżego. Objawy, wyłączając spowodowane histerią wymioty, to mdlenie, bóle brzucha, krzyki, że za chwilę umrą i wołanie matek. Mam mówić dalej, doktor Lynton?

- Histeria - orzekła Sophie powoli, przypominając sobie, że już kiedyś widziała podobną sytuację. Zachorowała jedna dziewczynka, a cała reszta zauważyła u siebie takie same symptomy. I szczerze wierzyły, że są chore. - Znasz przyczynę? - spytała niepewnie.

- Ty.

Sophie wytrzeszczyła oczy.

- Słucham?

- Pamiętasz Christabelle Pilkington? Ma *varicellę*. Nie jakąś tam ospę wietrzną, ale *varicellę*, i to ze strasznymi powikłaniami: zapaleniem mózgu, krwotokami, bezpłodnością...

- Gdzie ona znalazła bezpłodność? - Sophie w końcu zrozumiała, o czym mówi Reith. - Przecież to bardzo rzadkie...

- Więc mówiłaś jej o powikłaniach.

- Sama musiała o tym gdzieś przeczytać. - Sophie była bliska płaczu.

- Ale o *varicelli* wie od ciebie, prawda?

- Chciałam jej poprawić humor.

- Z tego możemy wnioskować, że nasza Christabelle spędziła cały weekend dzwoniąc do wszystkich koleżanek i opowiadając, że jest strasznie chora i czym jej choroba może się skończyć. Na pewno nie zapomniała dodać, że to jest bardzo zaraźliwe. Wystarczyło kilka godzin, żeby dziewczynki porównały symptomy i któraś z nich poczuła się nagle źle. A potem nastąpił efekt domina.

- Och!

Sophie nie bardzo wiedziała, co powiedzieć, tym bardziej że czuła się trochę winna. Nagle, nie wiadomo dlaczego, uśmiechnęła się. Po chwili wybuchnęła głośnym śmiechem. W ułamku sekundy dramat zmienił się w farsę.

Nauczyciele patrzyli na nią, jakby oszalała.

- Czy dobrze się czujesz?

Słowa Reitha otrzeźwiły ją, lecz gdy na niego spojrzała, zauważyła, że on także tłumi śmiech.

- Masz rację, powinnam zachować powagę. Co my teraz - zrobimy?

Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Powinienem zostawić cię samą z tym klopsem.

- Ucieknę pierwszym samolotem do Anglii - zagroziła i wargi jej zadrgały.

- Zaśmiej się chociaż raz, a obleję cię wodą.

- Im też by się to przydało - oznajmiła, wskazując jęczące nastolatki.

Reith potrząsnął głową.

- Nie skutkuje. One są święcie przekonane, że ciężko chorują. Ja też się dałem na to nabrać. Dopiero badając czwartą zacząłem coś podejrzewać.

- Więc?

Westchnął zrezygnowany.

- Musimy porozmawiać z każdą z nich na osobności. Musimy każdej po kolei powiedzieć, na co choruje Christabelle. Wyjaśnimy im, że to, przez co teraz przechodzą, może być pierwszymi objawami ospy wietrznej. I wyślemy je

do domu pod opiekę rodziców, których trzeba będzie we wszystko wtajemniczyć.

- To potrwa wieki - zaniepokoiła się Sophie.

- Cóż, może lepiej by było, gdybyś już wczoraj wróciła do Anglii, bo jeśli zechcesz teraz mnie zostawić, przyciągnę cię z powrotem, choćby za włosy - zagroził. - Jak jaskiniowiec, pani doktor. To co, zaczynamy?

- Chyba tak.

- Nie ma żadnego „chyba”. Zaczynamy, pani doktor!

Wyprawienie do domów wszystkich dziewcząt zajęło im ponad trzy godziny. Najwięcej kłopotów mieli z ostatnią pacjentką, której w żaden sposób nie mogli przekonać. Każda próba uspokojenia jej kończyła się jeszcze głośniejszym wybuchem hysterii. W końcu zniecierpliwiony Reith polecił matce, żeby wzięła dziewczynkę do domu, położyła ją do łóżka i zadzwoniła do niego, gdyby choroba utrzymała się do rana.

- To chyba koniec - odetchnął Reith, bardzo zmęczony. - Pani doktor, proszę mnie uprzedzić, kiedy będzie pani miała zamiar leczyć *varicellę*. Postaram się wziąć na ten czas urlop.

Sophie z uśmiechem i potrząsnęła głową.

- To był ostatni raz. Obiecuję. Spojrzał na nią pytająco.

- Czyżbyście już wracali z Kevinem do domu?

- Kevin już wrócił. Zapadła długa cisza.

- Znowu jakieś interesy? Nie masz szczęścia do swojego miodowego miesiąca, doktor Lynton.

- Nie. - Sophie wstała. - Muszę już iść.

Przeszła kilka kroków w kierunku drzwi, kiedy te się otworzyły i wszedł zaniepokojony dyrektor.

- Skończyliście? - spytał.

- Tak. - Reith spojrział na zegarek. - Muszę iść. Jestem już spóźniony na dyżur.

- Bardzo wam dziękuję - powiedział z wdzięcznością. - Mam jeszcze tylko jedną sprawę...

- Tak?

- Doktor Lynton rozmawiała z Lisą Carvis, naszą nauczycielką matematyki, i wysłała ją do domu. Czy mógłbym wiedzieć, co się stało?

- Ach! - Sophie przygryzła wargi. Zapomniała o tym na śmierć.

- Sophie? - Reith spojrzał na nią zdziwiony. Czowała, że nie powinna tym mężczyznom mówić o ciąży.

- Lisa miała kłopoty z żołądkiem, ale jej objawy były nieco inne niż dziewczynek, i na pewno autentyczne - zapewniła. - Pomyślałam, że będzie bezpieczniej wysłać ją do domu.

- Ale... - Dyrektor nie wydawał się przekonany.

- Proszę dać mi jej adres. Pojadę tam i sprawdzę, jak się czuje - przerwała Sophie, próbując uniknąć następnych pytań.

Reith skinął głową,

- Słusznie, pani doktor. Może jeszcze uda ci się coś zepsuć. - Uśmiechnął się. - A potem przyjedź do mnie, żeby mi o tym opowiedzieć.

- Zadzwoń.

- Będiesz miała po drodze, wracając od Lisy - powiedział Reith. - Chciałbym z tobą porozmawiać, zanim wyjedziesz.

Sophie spojrzała na niego zdziwiona.

- Tak, proszę pana - odparła salutując. - Jeszcze coś?

- To wszystko, żołnierzu. Możecie odejść.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Lisa słuchała wyjaśnień Sophie z rozbawioną miną, a kiedy ta skończyła, wybuchnęła śmiechem.

- Miałam już ospę wietrzną. Gdybym wiedziała, że o to chodzi, zostałabym pomóc. Ciekawa jestem, co pomyślą o mnie nauczyciele.

- Zrozumieją, kiedy im pani powie o ciąży.

- Hm. - Lisa położyła rękę na brzuchu. - Nie chciałabym jeszcze nic mówić, żeby nie zapeszyć, ale mam dobre przeczucia.

- Ja też - uśmiechnęła się Sophie.

- Może zostałyby pani tutaj na kilka miesięcy? - spytała wstydliwie Lisa. - Łatwiej jest chodzić do lekarza kobiety.

Sophie pokiwała głową i spoważniała.

- Bardzo bym chciała.

Kiedy przyjechała do gabinetu, Reith jeszcze przyjmował. Zaprowadził ją do poczekalni i wręczył kilka czasopism, prosząc, aby poczekała.

- Spieszę się - zaprotestowała. - Powiem ci parę słów o Lisie i jadę.

- Chciałbym z tobą porozmawiać. Panie Hardcastle, pana kolej. - Reith pomógł staruszkowi wejść do gabinetu. Zanim zamknął drzwi, powiedział: - Dzwoniłem do Moiry i uprzedziłem, że się spóźnisz.

- Ale...

Reith zniknął w gabinecie.

Powinna zostawić mu karteczkę z wiadomością i szybko stąd uciec.

W poczekalni było jeszcze kilku pacjentów. Uśmiechali się przyjaźnie, patrząc na nią z zainteresowaniem. Odwzajemniła uśmiech i pograżyła się w lekturze kobiecego czasopisma.

- Myślałem, że nie będziesz czekała.

Reith właśnie, pożegnał ostatniego pacjenta i zamknął za nim drzwi. Wyjął z rąk Sophie czasopismo i odłożył na stół.

- Daj mi skończyć - poprosiła z udanym oburzeniem. - Lorissa ma właśnie powiedzieć Jedowi, że nie jest jego siostrą, a David, który według Jeda ma romans z Lorissą, jest mężem jej najlepszej przyjaciółki. Jak autorka to zrobi, żeby Jed i Lorissa padli sobie w ramiona i żyli długo i szczęśliwie?

Reith uśmiechnął się, otworzył gazetę na stronie, na której było wydrukowane opowiadanie, i wyrwał kartkę. Potem starannie złożył ją i wetknął Sophie za dekollet.

- Proszę, pani doktor. Niech nikt nie mówi, że stoję między kochankami.

- Dziękuję, ale nie pomyślałeś o swoich pacjentach. Teraz oni są pozbawieni szczęśliwego zakończenia.

- Cóż, takie jest życie. - Reith wzruszył ramionami. - Chyba nadeszła pora na zdjęcie szwów.

- To dlatego kazałeś mi tyle czekać? Przecież mogę to zrobić sama.

- Czuję się odpowiedzialny za swoją pracę. Chodź do gabinetu i siadaj.

Popatrzyła na niego ze złością.

- Sophie! - powiedział z irytacją. - Pójdiesz sama, czy mam cię zaprowadzić?

- Będę robić, co mi się podoba.

- Dostaniesz potem czekoladkę. - Jego uśmiech sprawił jej ból. -

Naprawdę, nie ma się czego bać - dodał łagodnie.

- Nie boję się.

- Więc chodź i siadaj. Nie miała wyboru.

Reith pochylił się nad jej dłonią, trzymając w ręce małe, chirurgiczne nożyczki.

- Bardzo dobrze - powiedział, dotykając niewielkiej, prawie niewidocznej blizny. - Nie chcę się chwalić, ale zrobiłem to doskonale.

- Jeśli sam się nie pochwalisz, to kto to zrobi? - spytała sarkastycznie.

- Fakt. - Wyciągnął ostatni szew. - A teraz, doktor Lynton, chciałbym usłyszeć odpowiedź na kilka pytań.

- Jakich?

- Na przykład dlaczego posłałaś Lisę do domu?

- Nie chciałam, żeby się zaraziła.

- Dlaczego?

Sophie wzruszyła ramionami.

- Tego nie mogę ci powiedzieć. Tajemnica zawodowa. Pokiwał głową.

- Słusznie. Od ilu tygodni jest w ciąży i dlaczego jeszcze mnie nie odwiedziła?

Zdziwiona uniosła brwi.

- To są tylko pana przypuszczenia, doktorze Kenrick, a poza tym takie pytania są niezgodne z etyką lekarską. - Jej głos odrobinę złagodniał. - Nie zdziwiłabym się, gdyby jutro przyszła do ciebie.

- Wspaniale. Przy okazji: bardzo dobrze sobie poradziłaś w szkole. A gdybyś jeszcze nie była przyczyną tego zamieszania, to powiedziałbym, że wręcz znakomicie.

- Jakie to miłe z twojej strony! Czy mogę odejść, panie doktorze?

- Mam jeszcze jedno pytanie.

- Słucham.

- Gdzie jest Kevin?

Skrzywiła się. Nie powinien o to pytać; przecież to jego zasługa, że wyjechał.

- Nie mam pojęcia. - Wstała gwałtownie. - Dziękuję za zdjęcie szwów. Teraz muszę już iść.

Zbliżył się do niej i ujął jej rękę.

- To znaczy, że już nie jesteś zaręczona?

- A jak myślisz?

- Myślę, że chciałbym cię zaprosić na kolację. Sophie zamknęła oczy, chcąc się upewnić, że nie śni.

- Dobrze.

Tym razem nie pojechali do restauracji. Reith gdzieś zadzwonił, po czym udali się jego przedpotopową ciężarówką na północ, w stronę gór. Samochód przystanął przed niewielką chatką kilka kilometrów za miastem. Nie gasząc silnika, Reith wszedł do środka i po chwili wrócił, dźwigając kosz wypełniony po brzegi wiktuałami.

- To od jednej z moich pacjentek, która prowadzi małą firmę „Smakołyki Gildy” - wyjaśnił, widząc zdziwione spojrzenie Sophie. - Pikniki w buszu są jej specjalnością.

- Czyżbyśmy jechali na piknik?

- Tak, w moje ulubione miejsce.

Ulubione miejsce Reitha okazało się scenerią, która posłużyła do namalowania „Niewolnicy buszu”. Zachwycona Sophie wyskoczyła z ciężarówki i z podziwem rozejrzała się wokół. Nawet nie marzyła, że uda jej się zobaczyć coś równie cudownego. Obraz, chociaż piękny, nie był w stanie oddać ani uroku malutkiego jeziora, w którego krystalicznej wodzie przeglądały się szczyty gór, ani słońca, które, powoli zbliżając się do horyzontu, zalewało okolicę szkarłatnym blaskiem.

- Cieszę się, że zdążyliśmy - powiedział Reith uradowany. - Zachody słońca są tutaj bajkowe.

Nie odpowiedziała, lecz całym sercem chłonęła otaczające ją piękno. Jak mogła myśleć o opuszczeniu tego miejsca?

- Sophie. - Reith odwrócił ją twarzą do siebie i starł łzę płynącą po jej policzku. - Nie płacz, proszę.

- Ja... nie płaczę. Ja nigdy nie płaczę. Ale to... jest takie piękne.

- Tak - zgodził się, chociaż nie podziwiał w tej chwili krajobrazu.

- Nie! - Bojąc się, że zdradzi swoje prawdziwe uczucia, odepchnęła jego rękę. - Czy tu zjemy?

Spojrzał na nią zamyślony. W końcu przytaknął.

Potrawy przygotowane przez Gilde były cudowne: jeszcze ciepła zapiekanka, świeże bułki, avocado, sałata przyprawiona bazylią, oregano i innymi aromatycznymi ziołami, których Sophie nie była w stanie rozpoznać.

Jadła niewiele, głównie dlatego, że zaczęła karmić małe kangury, które, zwabione aromatem jedzenia, zaczęły ich otaczać zwartym kręgiem.

- Odkąd ten teren został włączony do parku narodowego, kangury opuściły swoje kryjówki - powiedział Reith. - Tak jakby wiedziały, że już nie można do nich strzelać.

Twarz Sophie rozjaśniła się uśmiechem. Położyła się na brzuchu, żeby włożyć sałatę do pyszczka małego kangurka, wystającego z torby swojej matki, która obgryzając liść, uważnie obserwowała, czy jej dziecku nie dzieje się krzywda.

- Szkoda, że Kevin nie może tego zobaczyć - odezwała się Sophie impulsywnie i natychmiast pożałowała swych słów.

Reith chował właśnie resztki z powrotem do kosza. Słońce już zniknęło za szczytami gór; jego ostatnie promienie barwiły horyzont ciepłą czerwienią. Powoli nadchodził zmrok, a po nim noc okrywająca świat jedwabistą ciemnością.

- Brakuje ci go?

Sophie potrząsnęła głową.

- Nie.

- Dlaczego chciałaś za niego wyjść?

Chociaż pytanie wydawało się proste, zawahała się, zanim odpowiedziała:

- Wydaje mi się... - Rzuciła w stronę kangurzej rodziny ostatni liść sałaty, jaki jej pozostał. - On mi chyba dawał poczucie bezpieczeństwa. To było dla mnie bardzo ważne.

- Więc miałem rację? - spytał łagodnie. - Spod skrzydeł rodziców uciekłaś pod jego opiekę?

- Niezupełnie.

Zapadła cisza. Reith zakorkował butelkę, na dnie której czerwieniły się resztki wina, i włożył ją do kosza. Sophie położyła się na plecach i podłożyła ręce pod głowę. Spojrzała w niebo, na którym zamigotała pierwsza gwiazda.

- Nie tylko ty miałeś nieszczęśliwe dzieciństwo - zaczęła powoli. - Moja matka opiekowała się mną tylko dlatego, że dostawała od ojca dużo pieniędzy. On z kolei nie chciał mnie znać i pewno płacił tylko po to, żeby go nie dręczyły wyrzuty sumienia. Spotkałam Kevina, kiedy miałam siedemnaście lat. Dał mi poczucie całkowitego bezpieczeństwa, którego zawsze bardzo pragnęłam.

- A teraz odesłałaś go do Anglii?

- Chyba tak.

- Co chcesz zrobić, moja Sophie? Moja Sophie...

Zamknęła oczy, usłyszawszy te słowa. Gdyby tylko mogły się spełnić...

- Nie wiem - wyszeptała. - Nie wiem.

W jej słowach zabrzmiał ból, którego nie była w stanie uśmierzyć nawet kojąca cisza wieczoru.

- Sophie...

Położył się koło niej, opierając głowę na ręce. Kiedy otworzyła oczy, zamiast nieba zobaczyła jego twarz.

- Reith...

Przez dłuższą chwilę patrzył na jej pobladłe policzki i wypełnione bólem oczy. Potem dotknął lekko jej włosów, obracając w palcach pojedyncze pasma. Oboje czuli, że między nimi powstała jakaś magnetyczna siła, tak wielka, że nie mogli się jej oprzeć. Reith pochylił się. Sophie drgnęła, kiedy poczuła delikatny dotyk jego ust. Objęła go, przyciągając do siebie jego głowę.

Tak samo czuła się owego dnia, kiedy niósł ją na górę, do sypialni. Ich ciała należały do siebie jak dwie połowy tego samego owocu. Czy on może nie czuć tego samego? Radość mieszała się w niej ze smutkiem. Jej miejsce było u boku tego mężczyzny i czuła, że należy do niego tak, jakby włożył na jej palec ślubną obrączkę. Wiedziała, że Reith nic nie obiecywał, ale miała nadzieję, że

to, co się teraz dzieje, zostanie w jej pamięci do końca życia. Jeśli ta noc jest wszystkim, co może od niego otrzymać, przyjmie ten dar z wdzięcznością.

- Sophie... - szepnął, całując delikatnie jej piersi. - Wiem, że nie powinienem tego robić, ale pragnę cię tak, jak żadnej kobiety.

- Kocham cię - odpowiedziała z prostotą. Na moment umilkł i znieruchomiał.

- Sophie, nie mogę...

- Nie możesz uwierzyć, że umiesz kogoś pokochać? Wiem, ale to nie zniszczy mojej miłości. Jutro... wyjeżdżam, na zawsze opuszczam twoje życie, ale dziś jestem „Niewolnicą buszu” i chcę cię. Moje uczucie wystarczy dla nas dwojga.

- Mój Boże, Sophie, powinienem zawieźć cię do domu. To jest szaleństwo.

- Nie pojedę, Reith - wyszeptała, rozpinając guziki jego koszuli. - Musiałbyś mnie siłą zanieść do samochodu, a nawet wtedy nie przestanę cię całować. Nie masz wyboru...

- Sophie...

- Niepotrzebnie tracisz czas - wyszeptała, całując go. - Przecież mnie pragniesz.

Zaśmiał się cicho.

- Ty chyba nie masz wstydu!

Przytaknęła z uśmiechem na ustach. Sama się sobie dziwiła, że ona, doktor Sophie Lynton, ofiaruje swoje ciało mężczyźnie, którego zna zaledwie od tygodnia i co dziwniejsze, nie odczuwa nawet cienia wstydu. Może po prostu walczy o to, żeby być kochaną? Ale co będzie, kiedy przegra?

- A jeśli zajdziesz w ciążę?

- Nie zajdę - odpowiedziała, nie kryjąc żalu. Pomyślała, że wspañiale byłoby nosić w sobie jego dziecko.

Usiadł i podał jej rękę, pomagając się podnieść.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? - spytał, patrząc jej w oczy.
- To jest jedyna rzecz, której jestem pewna. Wiem, że ty też tego chcesz.
- Tak - odpowiedział z niespodziewaną gwałtownością. - Doprowadzasz mnie do szaleństwa, Sophie. Rozsądny człowiek wsiałby do ciężarówki i odjechał stąd jak najszybciej.

- Rozsądny człowiek nigdy by nie wsiał do twojej ciężarówki - poprawiła go i oboje się roześmieli.

- Jesteś rozpustna... - Zaczął zdejmować jej bluzkę. ,

- Tak - zgodziła się z uśmiechem.

- Jesteś bezwstydną... - Zajął się dzinsami.

- Zgadza się.

- Piękna, fascynująca, urzekająca... - Jego oczy wędrowały po jej ciele.

- Skoro tak twierdzisz...

- Tak.

- Zamilknij wreszcie i kochaj się ze mną.

- Skoro tego chcesz...

Gwałtownie przyciągnął ją do siebie i już nie musiała go prowokować.

Ich ciała złączyły się w miłosnym uścisku.

Jej miłość, jej życie...

Teraz i na zawsze.

Zmierzch powoli przechodził w noc. Księżyc pojawił się na niebie, oświetlając drżącą poświatą kochanków.

Sophie obudziła się chwilę po północy. Usłyszała w otaczającej ich ciemności jakiś obcy dźwięk.

Z kabiny ciężarówki dobiegał dzwonek telefonu komórkowego. Sophie usłyszała stłumione przekleństwo; najwyraźniej Reith też się obudził. Wiedziała, co teraz czuje; wiedziała, że najchętniej wrzuciłby telefon na dno najgłębszego jeziora. Nie pozwoliły mu tego zrobić świadomość, że jest jedynym lekarzem w okolicy i poczucie odpowiedzialności.

Delikatnie wysunął się spod koca i sięgnął po spodnie.

- Myślę, że nie musisz się ubierać - powiedziała. - Kangury widziały już gorsze rzeczy.

- Racja. - Wstał i szybko podbiegł do ciężarówki.

Sophie została pod kocem, modląc się, aby nie wydarzyło się nic poważnego. Jej modlitwa nie została wysłuchana.

- Ból w klatce piersiowej - oznajmił Reith z żalem w głosie i podał jej rękę. - Wstawaj, kochanie.

- Poczekam na ciebie - rzekła, lecz z góry wiedziała, jaką otrzyma odpowiedź.

- Jeśli będę miał dużo pracy, zostaniesz tu do rana. A co zrobisz, jeśli o szóstej, śpiewając wesołe piosenki, pojawi się drużyna skautów? - Przytulił ją z czułością. - Ubierz się, pani doktor. Odwiozę cię do domu.

Dom...

Wiedziała, że ma na myśli pensjonat Moiry Sanderson.

Kiedy usiadła koło niego w ciężarówce, było jej zimno i bała się. Twarz Reitha zamieniła się w maskę; wyglądał, jakby z żalem z czegoś zrezygnował.

Jej najgorsze przeczucia zmieniły się w pewność, kiedy zatrzymał samochód przed pensjonatem. Przytulił ją i mocno pocałował - jak żołnierz, który wyruszając na wojnę całuje swoją ukochaną. Jak mężczyzna na zawsze opuszczający kobietę.

- Do widzenia, Sophie. - Dotknął jej policzka, chcąc przedłużyć ostatnie chwile bliskości. - Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką znałem. Chciałbym... - potrząsnął głową - Boże, naprawdę bym chciał, żebyśmy byli razem.

- Ale nie spróbujesz, prawda?

- Sophie, jest mi naprawdę ciężko cię zostawić.

- Nie muszę przecież wyjeżdżać. - Zdała sobie sprawę, że zachowuje się jak dziecko proszące o jeszcze jednego loda.

- Tak... - Znowu zaczął przemawiać tak, jak ów szorstki mężczyzna, którego po raz pierwszy ujrzała na drodze. - Nie musisz wyjeżdżać jutro ani za tydzień, ale kiedyś wyjedziesz. Skoro więc masz rezerwację na jutro, wykorzystaj ją.

- Pozwól mi zostać - poprosiła. Duma i miłość...

Te dwie rzeczy wykluczały się jak susza i powódź. Reith roześmiał się cynicznie, raniąc ją do głębi.

- Nie. - Chwycił ją za rękę. - Do diabła, Sophie. Nie powinienem był pozwolić, żeby to wszystko zaszło tak daleko. Przyznaję, jestem samolubny, ale... - Westchnął z żalem. - Gdybyś została ze mną i stała mi się jeszcze bliższa, chyba bym oszalał.

- Ja już jestem bliska szaleństwa - wyszeptała przez łzy.

- Im szybciej wyjedziesz, tym łatwiej o mnie zapomnisz.

- Naprawdę tak myślisz?

- Tak.

Mylił się. Z każdym dniem będzie cierpiała bardziej.

On musi jechać do pacjenta, ma swoje życie.

Ona też.

Zacisnęła dłonie. Poczowała ból, kiedy paznokcie wbiły się w skórę.

Otworzyła oczy i po raz ostatni spojrzała na niego, po czym pochyliła się i delikatnie pocałowała go w usta.

- Jeśli będziesz mnie potrzebować, wiesz, gdzie mnie szukać - szepnęła. Jej głos zmienił się w bezsilny szloch. Reith wyciągnął rękę, chcąc ją przytulić, ale była szybsza.

Wyskoczyła z ciężarówki, wbiegła na werandę, szybko weszła do domu i zamknęła się w zaciszu swojej sypialni.

- Okropnie wyglądasz, kochanie - powiedziała Moira następnego dnia, kiedy Sophie zeszła na śniadanie. - Co się stało?

Sophie wzruszyła ramionami i napełniła filiżankę kawą.

- Dzisiaj wracam do domu - oznajmiła.

- Do Kevina?

Wzdrygnęła się na samą myśl o nim. Już nie była jego małą dziewczynką. Reith ją uwolnił od Kevina.

- Nie.

Zawsze pragnęła wolności, dlatego więc ta niezależność ma taki gorzki posmak?

- Pójdę się spakować. Mój samolot wylatuje co prawda wieczorem, ale chcę obejrzeć po drodze kilka miejsc.

Nie chciała mówić, że nie jest w stanie zostać tu ani chwili dłużej.

- Och, Sophie... - Twarz Moiry wyrażała szczerą smutek. Wyraźnie domyśliła się wszystkiego. - Miałam taką nadzieję, że ty i doktor Kenrick...

- To było jak bańka mydlana - przerwała Sophie, wstając i gwałtownie odstawiając filiżankę. - Wiesz przecież, że on nikogo nie potrzebuje. Jak mogłam się łudzić, że z powodu mnie coś zmieni?

Po kilkunastu minutach była gotowa. Wyszła na dwór i z rozpaczą wrzuciła torbę na tylne siedzenie samochodu.

Będzie musiała się pozbierać, ułożyć sobie życie od nowa, ratując co się da z brutalnie rozbitych marzeń.

Na szczęście jest lekarzem i może pracować pomagając innym. Czy w ten sposób zdoła wypełnić pustkę w swoim życiu?

Moira kilkakrotnie radziła jej, żeby pojechała na Grań Cudownego Widoku, ale dotąd nie miała czasu. Może teraz...?

Teraz, kiedy uwolniła umysł od Reitha Kenricka, miała mnóstwo czasu. Mogła go spędzić w poczekalni na lotnisku albo być turystką.

Żadna z możliwości zbytnio jej nie pociągała, ale lotnisko już widziała.

Grań warta była swojej sławy. Rozciągał się z niej widok na całą dolinę, wokół której majestatycznie wznosiły się niebosiężne szczyty. Gdzieś tam w dole na pewno jest jezioro Reitha, w którym odbijają się te same góry.

Przyroda pozostała, ale ich miłość przeminęła, pozostawiając po sobie jedynie gorzkie wspomnienia.

Nie była pewna, ile czasu spędziła na pniu zwałonego drzewa. Lekki wiatr bawił się jej włosami, słońce ogrzewało twarz. Świat wokół był cudownie piękny, ale ona nie potrafiła się nim cieszyć.

W końcu wstała i ostatnim spojrzeniem ogarnęła miejsce, które mogło stać się jej domem. Coś, pewno poruszany wiatrem obłok, zasłoniło na moment słońce. Skierowała wzrok ku górze. Nie był to jednak obłok, lecz płomieniście czerwona lotnia, która z szumem opadała w dół.

Przez moment Sophie myślała, że lotnia spadnie na nią i odruchowo cofnęła się o kilka kroków. Zerwał się nagły, gwałtowny wiatr i lotnia uniosła się o kilkanaście metrów w górę.

Nagle zawisła w powietrzu, nosem mierząc w niebo, i niespodziewanie zanurkowała jak jastrząb, który wypatrzył na ziemi zdobycz.

Sophie usłyszała świst powietrza, a wkrótce potem trzask łamiących się gałęzi i potworny, przenikliwy krzyk, który zwielokrotniło echo.

Potem zapadła cisza.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Sophie powoli podeszła do barierki oddzielającej grań od przepaści, której dno porastał gęsty busz.

On nie mógł przeżyć, chociaż skrzydła lotni na pewno spowolniły upadek... Tylko gdzie on jest?

Jakby w odpowiedzi na jej myśli, z dołu dobiegło wołanie:

- Ratunku! Czy jest tam ktoś? Pomocy!

Ten człowiek musiał ją zobaczyć na szczycie grani. Powinna mu pomóc, tylko nie wiedziała, jak zejść na dół.

Wołanie zmieniło się w pełen bólu krzyk. Sophie gorączkowo próbowała odgadnąć, co się mogło stać. Czyżby spadł jeszcze niżej?

Srowadzenie pomocy zajęłoby jej co najmniej pół godziny. Nie wiedziała, czy może sobie pozwolić na taką zwłokę.

Położyła się na brzuchu i ostrożnie podczołgała do krawędzi przepaści. Powoli wysunęła głowę i rozejrzała się wokół. Pod nią była prawie pionowa ściana, która jednak kilkanaście metrów dalej w lewo była już tylko stromym zboczem, po którym można zejść.

Ponownie rozległ się krzyk, ucichł i rozbrzmiał znowu.

Sophie podjęła decyzję. Pobiegła ścieżką do miejsca, w którym zbocze umożliwiałoby zejście. Chwytając się rękoma kamieni i skąpej roślinności, zsunęła się kilkanaście metrów w dół. Potem było już łatwiej, bo przytrzymywała się drzew i krzewów. Nie zwracała uwagi na to, że gałęzie boleśnie ranią jej ręce i nogi.

Przebyła może dwieście metrów, kiedy zobaczyła najpierw podartą płachtę lotni na drzewie, a potem mężczyznę wiszącego głową w dół.

Dlaczego nie spadł?

Niespokojnie popatrzyła w górę, krytycznie oceniając swoje szanse na wejście. Nie chodziła po drzewach chyba od dwudziestu lat i wcale nie marzyła o tego rodzaju powrocie do dzieciństwa. Ale nie miała wyboru.

- Już idę do ciebie - oznajmiła.

- Czy ktoś tam jest? - W udręczonym głosie mężczyzny zabrzmiała nuta nadziei.

- Już idę. - Sophie z żalem spojrzała na swoją nową spódnicę i podciągnęła ją do wysokości ud.

Wieżień był na wysokości co najmniej dziesięciu metrów i dotarcie do niego zajęło jej pięć długich minut. W końcu udało jej się sięgnąć gałęzi, z której zwisał. Kiedy uważnie go obejrzała, poczuła się słabo.

Z dużego konaru wyrastała w górę krótka, ale dość gruba gałąź, która wbiła się w łydkę nieszczęśnika. Na tej łydce spoczywał cały ciężar jego ciała. W każdej chwili gałąź, albo co gorsze, skóra i mięśnie mogły się przerwać, co spowodowałoby natychmiastowy upadek.

Sophie zapomniała o lęku wysokości i, położywszy się na gałęzi, podpełzła niczym koala do miejsca, gdzie bezwładnie zwisał mężczyzna. Oceniając sytuację z bliska, z radością zauważyła, że jest lepiej, niż się spodziewała. Rannemu udało się przełożyć przez konar także zdrową nogę; jego ciężar był więc rozłożony na dwa punkty.

- Jeszcze chwila - powiedziała łagodnie, choć bała się, że mężczyzna straci przytomność.

W głowie zaświtał jej pewien pomysł.

Oplotła jeszcze silniej nogami konar. Wiedziała, że albo zdoła podciągnąć mężczyznę w górę, albo oboje spadną. Wyciągnęła w dół obie dłonie i powiedziała stanowczo:

- Podaj mi rękę.

Mężczyzna wyciągnął w górę ramiona. Chwyliła je mocno i wychylając się do tyłu, zaczęła ciągnąć. Mężczyzna krzyknął przeraźliwie, kiedy zmienił się

ucisk na zranioną nogę. Sophie zacisnęła zęby, starając się nie dopuszczać do siebie żadnego dźwięku.

I w końcu udało się: mężczyzna chwycił się kurczowo rękoma konaru. Nogę miał co prawda cały czas dziwacznie wygiętą, ale już na niej nie wisiał.

- Już lepiej - powiedziała drżącym głosem. - Tylko nie ruszaj się.

- Dobrze - dobiegł ją cichy, pulsujący bólem szept.

Przyjrzała się pechowemu lotniarzowi. Miał nie więcej niż dziewiętnaście lat, rade włosy i upstrzoną piegami bladą skórę. Musiał być bardzo przestraszony, bo drżał.

- Kim... jesteś? - spytał.

- Nazywam się Sophie - powiedziała, starając się, aby jej głos zabrzmiał spokojnie. - Sophie Lynton. A kogo miałam przyjemność uratować?

- Jestem Mike Letherbridge.

- Miło mi cię poznać, Mike. - Zaczynały ją już boleć nogi, kurczowo ściskające gałąź. Zaczęła zastanawiać się, co dalej. Najprościej byłoby spróbować zdjąć nogę chłopca z gałęzi, na którą była nadziana, ale bała się, że może to uszkodzić żyły i spowodować krwotok. Sprowadzenie pomocy trwałoby prawie godzinę, a widząc stan ранego, wiedziała, że nie może tak długo czekać. Gdyby go zostawić samego, na pewno zemdleje i spadnie. Pozostawało jedno: czekać, aż ktoś ich znajdzie.

- Mike, czy twoi przyjaciele widzieli, gdzie lądowałeś?

- Nie. Latałem sam. Wiem, że nie powinienem, że to przeciw regulaminowi, ale wczoraj dostałem nową lotnię i bardzo chciałem ją wypróbować. Przyjechałem na motorze do Inyabarry, zostawiłem motocykl tam, gdzie chciałem wylądować, a lotnię wciągnąłem na górę na przyczepce.

Pomysł był dobry, pod warunkiem, że będzie idealna pogoda. Sophie pomyślała, że to nie jest odpowiedni moment na wygłaszanie wykładu o odpowiedzialności i zamiast tego spytała:

- Gdzie nocujesz?

- Jeszcze nic nie załatwiłem. Mam teraz wakacje, a rodzicom powiedziałem, żeby się nie denerwowali, bo wyjeżdżam na kilka dni z przyjaciółmi.

To znaczy, że nikt go nie będzie szukał. Jeśli ktoś zobaczy samochód Sophie, prawdopodobnie pomyśli, że jego właścicielka poszła na spacer albo że zdecydowała się spędzić kilka dni na kempingu.

Zaczęły ją nachodzić ponure myśli. Nie wiedziała, jak długo wytrzymają na drzewie, ale chyba nie mieli wyboru: musieli czekać.

Zapragnęła, żeby Reith był przy niej.

- Dobry Boże, Reith, pomóż! - wyszeptała cicho. - Pomóż mi!

To był najdłuższy dzień w jej życiu. Kiedy później o nim myślała, dziwiła się, w jaki sposób zdołała go przetrwać.

- Idź po pomoc, ja sobie poradzę - kilkakrotnie prosił chłopiec. Wkrótce zaczął majaczyć i w gorączce wołać matkę. Musiał strasznie cierpieć.

Czuła się coraz bardziej zmęczona. Nie była w stanie długo go trzymać; wiedziała, że prędzej czy później napięte mięśnie odmówią jej posłuszeństwa.

Czas płynął bardzo powoli.

- Reith, Reith... - Te słowa były jak modlitwa podsycająca jej nadzieję. Pozwalały jej znaleźć w sobie siłę, której istnienia nie podejrzewała.

Wiedziała, że Reith nie przyjdzie. Na pewno myśli, że jest w drodze na lotnisko.

Skończy pewno jako szkielet, powoli, po kosteczce osypujący się z drzewa. Roześmiała się histerycznie. Ta sytuacja doprowadzała ją do obłędu. Ile jeszcze musi czekać?

Cienie coraz bardziej się wydłużały, kiedy słońce leniwie przemierzało na niebie swoją odwieczną drogę. Wreszcie jego rąbek schował się za horyzont, a promienie zabarwiły się ciepłą czerwienią, która niechętnie ustąpiła miejsca coraz głębszej szarości zmroku, przechodzącej w ukrywającą wszystko czerń nocy.

Sophie pomyślała, że już powinna przechodzić odprawę paszportową, a za kilka minut siadać w wygodnym lotniczym fotelu.

- Reith... - powtórzyła po raz tysięczny. Była już u kresu wytrzymałości, ból mięśni osiągnął poziom krytyczny. Niemal zazdrościła Mike'owi, że jest nieprzytomny i nie musi o niczym myśleć.

Nie miała żadnego oparcia, żadnej nadziei. Nikogo.

- Sophie!

Drgnęła. To niemożliwe, żeby ktoś ją wołał. Pewno majaczy.

- Sophie!

Tym razem głos zabrzmiał nieco wyraźniej. Chciała wierzyć, że nie są to tylko zwidy.

- Sophie!

Tym razem nie mogła się mylić. Słyszała głos i zobaczyła migające w oddali światła latarek.

- Sophie!

To Reith! Wołał ją głosem mężczyzny, który stracił wszystko, na czym mu zależało.

Zamknęła oczy i nagle poczuła się bardzo szczęśliwa. Wzięła głęboki oddech i najgłośniej jak potrafiła, zawołała:

- Reith! Jestem tutaj!

Mike poruszył się niespokojnie. Widocznie odzyskał przytomność.

- Mike, trzymaj się! Reith zaraz tu będzie! Z dołu oświetliły ich światła latarek.

- Sophie!? - Głos był zdziwiony.

- Reith... tutaj!

Usłyszeli, jak kilka osób przedziera się przez krzaki, a potem z ciemności wynurzył się Reith, szybko wspinający się na drzewo. Po chwili trzymał ją w ramionach, dotykając delikatnie, jakby nie wierząc, że ją znalazł.

Na drzewo weszło kilku mężczyzn, którzy zajęli pozycje od szczytu do ziemi. Reith podał pierwszemu z nich Sophie, a ten następnemu i tak, przechodząc z ręk do rąk, znalazła się bezpiecznie na dole.

Zamknęła oczy i straciła świadomość.

Obudziła się w swoim własnym łóżku, w pensjonacie Moiry. Uważała je za własne, chociaż spędziła tutaj niewiele ponad tydzień. Darzyła to miejsce znacznie silniejszym uczuciem niż Londyn, w którym przeżyła ponad dwadzieścia lat.

Była szczęśliwa. Przewróciła się na drugi bok.

- Auu! - krzyknęła mimowolnie, gdy jej ciało przeszył ból. Drzwi się otworzyły i stanęła w nich uśmiechnięta Moira.

- Wreszcie się obudziłaś. Och, Sophie...

W oczach Moiry niespodziewanie pojawiły się łzy.

- Myśleliśmy, że nie żyjesz - zaszlochała. - Nigdy w życiu się tak nie bałam. Zadzwonili do nas z lotniska, kiedy nie pojawiłaś się na odprawie i wtedy zaczęłam się denerwować. Widziałam, w jakim stanie byłaś rano i myślałam... że pojechałaś na przejażdżkę. A potem znaleźliśmy samochód... i wtedy przestraszyłam się jeszcze bardziej i zadzwoniłam do doktora Kenricka i on... on chyba trochę oszalał...

Wybuchnęła niepowstrzymanym płaczem.

W więc myśleli, że popełniła samobójstwo.

- Przepraszam, Moira - szepnęła, czując się winna.

- Przepraszasz? - Moira uniosła zdziwioną głowę. - Nie masz za co przepraszać, przecież uratowałaś życie tego chłopca. Wszyscy mówią, że to cud i że nie mają pojęcia, jak tego dokonałaś. Żeby go zdjąć z drzewa, musieli obciąć gałąź, a potem zawieźli go helikopterem do Melbourne, ciągle z tym konarem w nodze. Właśnie zadzwonili, żeby powiedzieć, że wszystko jest dobrze i nie ma poważniejszych uszkodzeń. To wszystko dzięki tobie, a ty jeszcze przepraszasz?

- A Reith?

- Jest tutaj. Siedział przy tobie całą noc, chociaż próbowałam go namówić, żeby jechał do domu. Jak grochem o ścianę. Teraz rozmawia przez telefon z lekarzami z Melbourne o tym chłopaku. Mówię ci, kochanie, on zwariował. A kiedy cię wreszcie znaleźliśmy...

Moira zaszlochała i wyjęła chusteczkę, żeby wytrzeć oczy. Z holu dobiegł odgłos słuchawki odkładanej na widelki.

- Zaraz tu będzie - powiedziała. - Chciałam, żeby pojechał do domu, chociaż żeby wziąć prysznic i się przebrać, ale on nie słuchał. Tłumaczyłam mu, że jeśli zobaczysz go w takim stanie, brudnego i pokrwawionego, to na pewno znowu stracisz przytomność. - Uśmiechnęła się. - Zejdę teraz na dół przygotować ci śniadanie. Musisz mi tylko obiecać, że nie zemdlejesz, kiedy go zobaczysz.

- Obiecuję. Moira wyszła.

Sophie usłyszała rozmowę na schodach, a potem zbliżający się odgłos kroków.

W drzwiach pojawił się Reith i spojrzał na nią niepewnym wzrokiem.

- Reith...

Podparła się na łokciu i wyciągnęła w jego kierunku dłoń. W jednej chwili był przy niej i zaczął całować jej rękę. Sophie zapomniała o bólu i objęła go, z całej siły tuląc jego głowę do swojej piersi.

- Sophie - wyszeptał łamiącym się głosem. - Boże, myślałem, że nie żyjesz.

- Powinieneś być wiedzieć, że nie popełnię samobójstwa - powiedziała łagodnie.

- Skąd mogłem mieć taką pewność? Skąd, do diabła, miałem to wiedzieć? Zostawiłaś samochód nad urwiskiem... - Urwał, widocznie na nowo przeżywając koszmar poprzedniej nocy.

- Nie mogłam umrzeć - szepnęła - bo sercem cały czas byłam przy tobie, nawet jeśli tego nie chciałeś. - Dotknęła delikatnie jego twarzy. - Mam zamiar żyć bardzo długo.

Reith patrzył na nią w milczeniu, zanim powiedział:

- Sophie, dostaniesz wszystko, co chcesz. Nie wiedziałem, że jedna kobieta może tyle dla mnie znaczyć, ale kiedy się o tym przekonałem, było już za późno. Od tej chwili masz mnie na zawsze.

Reith powiedział „masz mnie na zawsze"! Spełniły się jej marzenia.

- Jestem twoja - szepnęła. - Twoja.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Sophie obudziła się o świcie.

Lekki powiew ciepłego wiatru pieścił jej twarz, wpadając przez półotwarte okienko namiotu.

Leżała w ciepłym, puchowym śpiworze, a obok siebie słyszała oddech śpiącego Reitha. Oparła głowę na jego piersi, a on, nie budząc się, objął ją. Wróciła myślami do wczorajszego dnia - ich wesela.

Moira pełniła honory domu, dumna, że może wydać za mąż swoją ukochaną Sophie. Wspólnie z Gildą przygotowały dla niej tradycyjną, białą suknię, okrytą mgiełką tiulu i delikatnych koronek.

Na ślubie zjawiała się ponad połowa mieszkańców doliny. Wśród gości był wdzięczny Mike, chodzący jeszcze o kulach, Mary i Ted, którym oczywiście towarzyszyła rozradowana Mandy, i Margaret Lee, opowiadająca wszystkim o dobrodziejstwach diety dla cukrzyków. Sophie zauważyła także Elvirę Pilkington z córką, która na szczęście już wyzdrowiała.

Reith ubrany był w czarny, elegancki garnitur, w którego klapie widniała czerwona róża - symbol miłości.

Widziała tylko jego; wszystko inne znajdowało się jakby w innym świecie, ukryte za mgłą. W podróż poślubną pojechali nowym samochodem osobowym.

- Nie mogliśmy przecież jechać na miesiąc miodowy starą ciężarówką - wyjaśnił z uśmiechem Reith, nie chcąc jednocześnie powiedzieć, gdzie go spędzą.

Pojechałaby z nim wszędzie, nawet ciężarówką. On zaś wybrał miejsce ich pierwszej, wspólnej nocy i „Niewolnicy buszu”.

- Za dwa dni polecimy do Londynu do twojej matki - wyjaśnił - ale te dwa dni spędzimy tutaj, bo to miejsce należy do nas. - W jego głosie pojawiła się nagle nuta niepewności. - Mówiłaś, że ci się tu podoba, ale jeśli powiesz słowo, pojedziemy tam, gdzie będziesz się czuła lepiej.

Sophie z uśmiechem ogarnęła spojrzeniem otaczające ją piękno. Właśnie rozpoczynał się zachód słońca i na jeziorze pojawiły się pierwsze odblaski purpury. Jej małżeństwo nie mogło się lepiej zacząć.

- Ależ to jest moje ukochane miejsce, Reith - szepnęła, przytulając się do jego piersi. - Jestem twoją niewolnicą buszu na zawsze.

To były ostatnie słowa, które powiedziała tego dnia...

Wspomnienia odpłynęły i Sophie przeciągnęła się, czując bicie serca Reitha. Był tak blisko, że stanowili niemal jedność. Świadomość, że będzie się już do końca życia budzić koło niego, napełniała ją niewyobrażalnym szczęściem.

Nie mogła prosić o nic więcej.

Nagle zamarła. Z zewnątrz dobiegł ją potworny ryk, jaki słyszała tylko raz w życiu.

Reith otworzył oczy i mocniej ją przytulił.

- Boisz się, Sophie?

- To koala?

Reith uśmiechnął się i usiadł, odrzucając poły namiotu. Na trawie przed wejściem siedziała mała, szara kulka.

Sophie ten widok wydał się znajomy. Blizna pod okiem, wytarte futro na prawej, tylnej łapie...

- Czy to możliwe? - spytała.

- To on. - Reith pokręcił z niedowierzaniem głową. - Dużo podróżujesz, kolego.

Koala patrzył na niego prowokująco.

- Słuchaj, wiem, po co przyszedłeś. Nie chciałbym być nieuprzejmy, ale ta pani jest już zajęta.

Reith zamknął poły namiotu i zasunął ekspres. Gdy odwrócił się do Sophie, w jego oczach błyszczały żartobliwe ogniki.

- I co, kochanie, czy nie jesteś mu wdzięczna? To dzięki niemu się poznaliśmy.

Jego widok nappełniał ją szczęściem. Reith, jej mąż. Sophie wyciągnęła rękę, żeby go przytulić.

